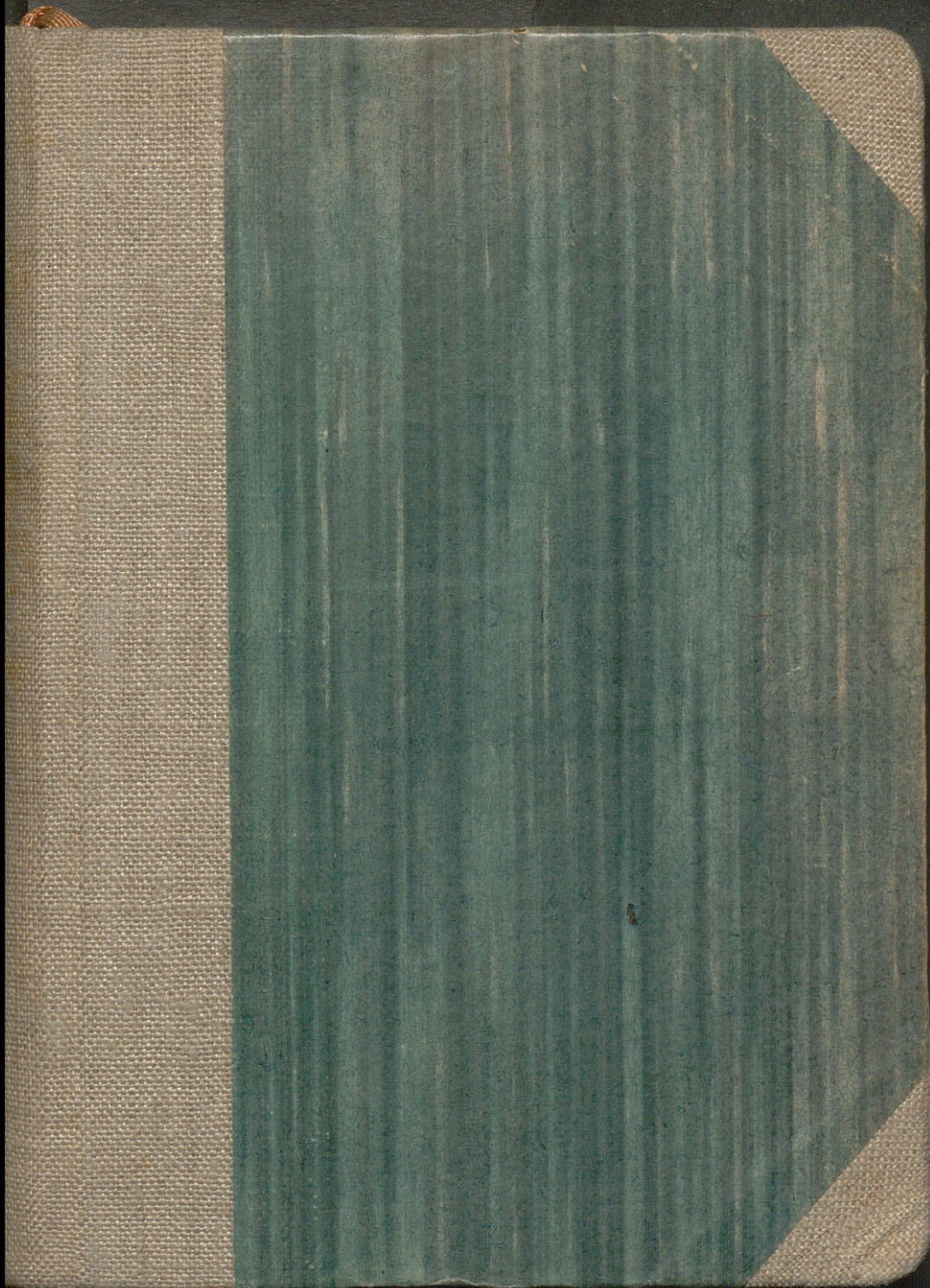
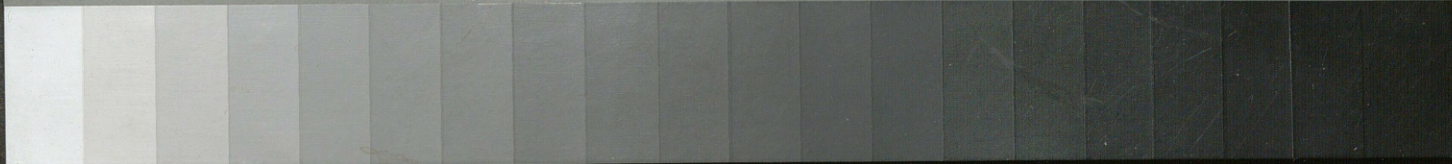


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19







J-1246

51-~~Ch. 10-1-86~~

TEGOŻ AUTORA:

1. OKO W OKO Z KRYZYSEM. 2 wydania. Nakładem
księgarni F. Hoesicka w Warszawie.
2. KIEDY ZNOWU WOJNA? Nakładem Gebethnera
i Wolffa w Warszawie.

A QUAND LA GUERRE? 15 wydań. Nakładem
Berger-Levrault, Paris — Nancy --
Strasbourg, w przekładzie francuskim
Marji Szczerbińskiej.

KDY ZNOVU WALKA? 2-a wydania. Nakładem
F. Topic. Praha, w przekładzie cze-
skim Jarmily Fastrové.

3. REWOLUCJA W GRECJI. Nakładem „Roju”.

W PRZYGOTOWANIU:

„CE N'EST PAS MOI QUI AI FOMENTE L'INSUR-
RECTION EN CRECE“ — déclare VENIZELOS.

Nakładem A. L. J. Paris.

4. WULKANY EUROPY (wydania zagraniczne).

ORAZ

5. PIŁSUDSKI I PIŁSUDCZYCY w Warszawie.

(1.2.8.)
№ 137.
KONRAD WRZOS

WULKANY EUROPY

Austrja—Węgry—Bałkany

WARSZAWA — 1936

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE «RÓJ»

Okladkę projektował
Mieczysław Berman

Copyright by K. Wrzos



Zakł. Graficzne „FENIKS”, Warszawa, Graniczna 12.

WSTĘP

Sprawy Austrii, Węgier i Bałkanów stale zaprzatają uwagę opinii. Są to sprawy wieczne.

Przeprowadzając w listopadzie r. 1933 ankietę p. t. „Kiedy znowu wojna?” wyszedłem z założenia, iż ośrodkiem przyszłej wojny będą Niemcy. I dlatego objechałem 9 krajów, sąsiadujących z Rzeszą. Rozmawiałem z szefami państw i ludźmi prostymi, z premierami i ministrami spraw zagranicznych. We Francji rozmawiałem m. inn. z p. Paul-Boncurem, ówczesnym ministrem spraw zagranicznych republiki.

P. Paul-Boncour powiedział mi, iż drogą utkania sieci nowych porozumień i przyjaźni, bez rozluźniania przyjaźni dawnych, można się przeciwstawić tendencjom wojny, które znowu zaczynają działać.

Kilka miesięcy później p. Paul - Boncour

upadł wraz z rządem, którego był członkiem. Zastąpił go w ministerstwie spraw zagranicznych p. Louis Barthou.

Mój znakomity kolega amerykański. H. R. Knickerbocker, jeden z najlepszych dziennikarzy współczesnych, rozmawiał na temat nadchodzącej wojny już z p. Louis Barthou. Jego ankieta była o tyle miesięcy aktualniejsza, o ile miesięcy później była przeprowadzana.

P. Louis Barthou powiedział memu kole-dze amerykańskiemu, że przestał być opty-mistą co do niemożliwości wybuchu wojny.

„Dlaczego? Jakie są powody? – brzmiały jego słowa. – Odpowiadam na to jednym słowem: „Austria”. Istnieje niesłychanie ude-rzająca analogja między sytuacją Austrii w r. 1934 i sytuacją Serbji w r. 1914. Nie-podległość Serbji była wówczas zagrożona ze strony monarchji Austro-Węgierskiej; Rosja zaś stawiała w jej obronie. Z tego kon-fliktu powstała wojna. Dziś Austria zagrożo-na jest w swej niezależności przez Niemcy; z drugiej strony wielkie mocarstwa i Mała

Ententa domagają się zachowania niezależności Austrii. Analogja między Serbią i Austrią jest niepokojąca, możnaby nawet powiedzieć – alarmująca; oto dlaczego niepodobieństwem jest twierdzić stanowczo, że nie będzie wojny nawet w r. 1934”.

Wojna w r. 1934 nie nastąpiła. Ale gdy p. Louis Barthou poległ obok króla Aleksandra, podczas zamachu w Marsylii, przez świat przeszedł okrzyk:

„Sarajewo!”

P. Louis Barthou zapłacił swem życiem wraz z królem Jugosławii za jedną ze spraw bałkańskich.

Balkany były, są i będą. Ale jest też jeszcze i Austria.

P. Louis Barthou powiedział, że między Serbią i Austrią istnieje alarmująca analogja. Może to i prawda. Ale jeśli Europa miała w r. 1914 do czynienia ze sprawą niepodległości Serbii, zagrożonej przez Austro-Węgry, o tyle Europa w r. 1935 poza innemi jeszcze sprawami, jak Abisynja i groźba konfliktu angielsko-włoskiego – ma do czynie-

nia: 1) ze sprawą niezależności Austrii oraz 2) z całym kompleksem zagadnień bałkańskich.

W pierwszych miesiącach roku 1935 odbyłem podróż po Austrii, Węgrzech i Bałkanach dla zbadania tych spraw. Rozpocząłem od sprawy austriackiej, przeszedłem do sprawy węgierskiej i skończyłem na sprawach bałkańskich. W ciągu trzech miesięcy odwiedziłem pięć stolic, cztery pasma pograniczne, rozmawiałem z ministrami spraw zagranicznych i premierami, mówiłem zarówno z głowami państw, jak z ludźmi ulicy.

Zacząłem od Wiednia, gdzie byłem przyjęty przez kanclerza Austrii, dr. Schuschnigga, wicekanclerza ks. Starhemberga i sekretarza związkowego, Adama. Z Wiednia pojechałem do Budapesztu, gdzie rozmawiałem z J. W. Regentem Horthym, premierem Gömbösem i ministrem Kanią. Interesując się możliwością powrotu Habsburgów, rozmawiałem z najwybitniejszymi reprezentantami tego rodu, arcyksięciem Albrechtem, arcyksięciem Józefem i arcyksięciem Józefem

Franciszkiem, oraz szefami legitymistów węgierskich, hr. Iwanem Csekonicem w Budapeszcie i legitymistów austriackich, b. ministrem dr. Friedrichem Wiesnerem w Wiedniu. Z Budapesztu pojechałem do Belgradu, gdzie przyjął mnie ówczesny prezydent Jewtycz oraz cały szereg najwybitniejszych mężów stanu Jugosławji, z prezesem Skupizyny i poszczególnymi członkami Kabinetu. Z Belgradu udałem się do Zagrzebia, aby zbadać sprawę chorwacką. Z Zagrzebia wróciłem do Belgradu, by pojechać do Sofji i rozmawiać z premierem oraz ministrami bułgarskimi, skolei udałem się w podróż samochodową włąb Bałkanów, do małych miasteczek na pogranicze bułgarsko-greckie, dla przestudjowania sprawy macedońskiej. Te dwie sprawy, chorwacka i macedońska są bardzo delikatnemi zagadnieniami, z którymi rządy belgradzki i sofijski z trudem sobie radzą.

Potem pojechałem do Aten, aby zapoznać się z rolą Grecji w związku bałkańskim.

Z ministrem Turcji miałem okazję rozma-

wiać w czasie pobytu w Genewie. Zaoszczędziłem sobie w ten sposób podróży do dalekiej Ankary i Czytelnik zechce mi to lenistwo wybaczyć. Ominąłem Bukareszt i Tiranę. Bukareszt ominąłem dlatego, iż z rumuńskim ministrem spraw zagranicznych, p. Titulescu, rozmawiałem już dawniej, a ponieważ gra, którą prowadzi obecnie na Bałkanie, nie jest tylko jego grą, więc wolałem zachować sobie możliwość omówienia jej bez ponownego nawiązywania kontaktu z tym ministrem Rumunii, Małej Ententy, Ententy bałkańskiej i in.

Do Tirany nie pojechałem mimo, iż poseł albański w Atenach zajął się przygotowaniem mi audjencji u Achmed Zogu. W czasie rewolucji w Grecji trudno było mi opuścić posterunek w Atenach, a w drodze powrotnej, którą wskutek niespodziewanego towarzyszenia Venizelosowi odbyłem przez Neapol, brakło mi już czasu na odwiedzenie Albanji. Zresztą i tu wchodzi w grę sprawa obcych potencji. Albanja jest ekspozyturą Włoch na Bałkanach. Ominąwszy samą Al-

banję, miałem jednak okazję ze sprawą albańską zapoznać się na tle jej konfliktów z Grecją.

Może wskutek braków powyższych, reportaż ten jest niekompletny. Czytelnik jednak zechce wziąć pod uwagę, iż nie mogłem doprowadzić swych podróży do końca ze względu na bardziej aktualne od spraw albańskich zagadnienia: austriackie, węgierskie i bałkańskie wogóle, chociażby w związku z wyznaczonemi terminami konferencji międzynarodowych w tych sprawach.

Ulegając namowom Wydawcy, oddaję w ręce Czytelnika materiał, który, choć niekompletny i może nieco przestrzały, wydaje mi się materiałem podstawowym dokumentem. Zawiera bowiem omówienie zagadnień, które stoją dziś przed Austrią i Węgrami z jednej strony, m. in. sprawy habsburskiej oraz kwestji, które nękają kraje bałkańskie: chorwackiej i macedońskiej – tych kwestji, które zrodziły mord marsylski.

Zaognienie sprawy serbskiej spowodowało

w r. 1914 zamordowanie arcyksięcia Franciszka Ferdynanda.

Stan zapalny sprawy chorwackiej i macedońskiej spowodował śmierć króla Aleksandra i, przy tej okazji, ministra Louis Barthou.

Po tym strasznym mordzie świat powtórzył w r. 1934 słowo, które pamiętał z r. 1914:

„Sarajewo”.

Od konfliktu austriacko-serbskiego zaczęła się wojna europejska. Wówczas Serbowie lękali się o swe małe państewko, czując się zagrożonymi przez Austrię. Chorwaci byli wówczas pod panowaniem węgierskiem. Dziś Serbowie i Chorwaci wraz ze Słoweńcami jedno stanowią państwo, Serbowie mają w niem przewagę nad innymi, Chorwaci zaś walczą o swe prawa nieraz metodami dość drastycznymi. W stosowaniu tych metod pierwszeństwo mają Macedończycy, – w tym względzie mistrzowie Chorwatów. Pozbawienie życia króla jest dla macedońskich organizacji terrorystycznych najzwyczajszą demonstracją polityczną.

W głębi Bałkanów stykamy się zresztą z pogardą śmierci na każdym kroku. Tanie jest życie ludzkie na Bałkanach...

Bałkany były, są i będą. Ale jest jeszcze i Austria i są Węgry.

Ruszamy w podróż...

I

CO BĘDZIE Z AUSTRIJĄ?

Wiedeń.

Jaka będzie przyszłość Austrii? Mocarstwa wzięły ją na siebie. Jak zareagowała na to Austria? Mam odpowiedzieć na to pytanie.

Rządowe koła austriackie przyjęły wiadomość o wyniku tego porozumienia z zadowoleniem. Nie ulega to wątpliwości. Z zadowoleniem, że sprawa Austrii jest sprawą pokoju Europy. Zadowolenie to byłoby pełniejsze, gdyby wśród gwarantów niepodległości Austrii znalazł się i rząd Rzeszy niemieckiej. Żaden układ międzynarodowy w sprawie niepodległości Austrii bez udziału Berlina nie będzie przedstawiał dla Wiednia pełnej wartości. Austria, mimo wszystko, pragnie zgody z Niemcami.

Utrwalając spokój wewnątrz kraju, tem usilniej będzie unikała zadrażniania stosunków z Rzeszą.

Naturalnie, że nieraz jeszcze będziemy mieli okazję czytać w dziennikach, w rubryce depesz, o takich lub innych, mniej lub więcej niebezpiecznych ruchach nazistowskich w Austrii. Ale mimo to możemy sobie powiedzieć, że w Austrii panuje spokój. Kto bowiem widział Austrię przed rokiem – a piszący te słowa widział Austrię w końcu r. 1933 – dla tego dzisiejszy jej nastrój musi się wydać nastrojem spokoju.

Istota rzeczy tkwi niewątpliwie w pozycji, jaką zajął rząd austriacki od chwili śmierci kanclerza Dollfussa. Rząd austriacki rozumie, że aby utrzymać się przy władzy musi trzymać wszystkie jej elementy mocno w garści.

Rząd ma do swej dyspozycji policję i wojsko, organizacje militarne i organizacje sportowe, oraz jedyny uprawniony do istnienia blok polityczny, noszący nazwę Frontu Ojczyźnianego (Vaterlaendische Front).

Bezstronni znawcy stosunków austriackich określają siły rządu na 100 tys. uzbrojonych ludzi (w tem 10 tys. policji, 40 tys. heimwehrowców, t. j. członków Heimatschutzu i Sturmscharen, 18 tys. wojska, 20 tys. gotowych do mobilizacji heimwehrowców, 8–10 tys. częściowo skoszarowanych, przydzielonych do wojska heimwehrowców).

W kołach rządowych mówi się o znacznie większych cyfrach.

Formalnie partje opozycji w Austrii nie istnieją. Poza Frontem patryjotycznym żadna partja nie ma prawa egzystencji. Nazi, monarchiści i socjaliści mają, oczywiście, swych licznych zwolenników – socjaliści, zresztą głównie we Wiedniu – ale mogą ich tylko obliczać.

Hitlerowcy twierdzą, że gdyby dziś urządzano w Austrii plebiscyt – padłoby za nimi najmniej 70⁰/₀ głosów ludności.

Legitymiści, t. j. zwolennicy powrotu Habsburgów twierdzą, że siły ich rosną. Ich szef, b. poseł dr. Friedrich v. Wiesner, wybitny polityk starej szkoły, ostatni szef pra-

sowy ministerstw a spraw zagranicznych dawnej monarchji, zacytował mi dla ilustracji swych słów, następujące dane:

W r. 1933 zebrano po zbiorach 42 tys. adresów do „młodego cesarza Ottona” w r. 1934 – 180 tysięcy.

I dodał również:

„Gdyby urządzono plebiscyt”...

Ale rząd nie myśli o plebiscycie.

Rząd trzyma władzę w garści.

Co mówi rząd o sytuacji obecnej?

Posłuchajmy wynurzeń Kanclerza Austrii.

– Co pan myśli, panie kanclerzu o układzie, zawartym między mocarstwami w sprawie Austrii? – tak brzmiało pierwsze pytanie, jakie zadałem szefowi rządu austriackiego.

P. kanclerz, dr. Kurt Schuschnigg, spojrział na mnie z za swych okularów i zakładając nogę na nogę zaczął mówić zwolna, ważąc każde słowo:

– Austrija przyjęła te układy z zadowoleniem, gdyż widzi w nich dążenie do ogólnego odprężenia i konsolidacji pokoju. Zdajemy sobie doskonale sprawę z pomyślnych

widoków, jakie otwierają układy te dla zawarcia dalszych umów, które objęłyby inne państwa, unikające, naturalnie, troskliwie tworzenia bloków państw jednych przeciw drugim. W ten sposób współpraca między państwami, opierająca się na zasadzie „otwartych drzwi” stanie się możliwa w interesie pokoju europejskiego.

Kanclerz zamknął zdanie tym „pokojem europejskim”, umilkł i, zdjawszy okulary, przetarł oczy. Zacząłem mówić o roli państwa, nieposiadającego swego narodu.

– Niema wszak narodu austriackiego – zacząłem...

– A czy istnieje naród amerykański? – żywo zareplikował kanclerz.

Sformułowałem tedy pytanie:

– Wobec tego, że niema narodu austriackiego we właściwym tego słowa znaczeniu, jaka jest rola Austrii z punktu widzenia narodowego i jakie są jej stosunki z Niemcami i z narodem niemieckim?

Odpowiedź kanclerza brzmiała:

– Należy przedewszystkiem rozróżnić do-

– Jak długo potrwa zawieszenie broni między członkami obecnego rządu?

– Niema zawieszenia broni – woła energicznie – jest współpraca.

Tłumacząc moje pytanie faktem istnienia pewnego rodzaju podziału tek w rządzie między Heimwehrą, a dawniejszymi zwolennikami partji chrześcijańsko-socjalnej.

Ksiązę żywo protestuje.

– Niema partji – powiada – jest jednolity front patryjotyczny (Vaterlaendische Front). Jedna organizacja, jedyna organizacja. Jedyna organizacja, która ma prawo do polityki.

I tu ksiązę rzuca uwagę, nader ważką dla scharakteryzowania różnic, zachodzących między dzisiejszemi dyktaturami.

– Jest ta różnica między Austrią, a Niemcami – powiada – że w Niemczech istnieje dyktatura jednej partji. Nie wchodzę w to, czy to jest dobre, czy też złe – dodaje po chwili – ale stwierdzam, że u nas w Austrii niema dyktatury jednej partji. Austrija jest rządzona przez patryjotów, zjednoczonych we

wspólnej organizacji. Zniszczyliśmy stare partje, aby na ich gruzach stworzyć nową organizację. Ta organizacja pozwala nam na realizowanie faszystowskiej idei państwa korporacyjnego. To zaś jest możliwe, jeśli do życia politycznego nie jest wnoszone to zło, które dawne partje polityczne wносиły. Mogę panu powiedzieć – kontynuował swą myśl książę – że tych złych obyczajów starych partyj politycznych niema dziś w naszym froncie patryjotycznym.

I po chwili dodał:

– Istnienie tego frontu umożliwiło nam zjednoczenie wszystkich stanów. Mamy robotników i chłopów w jednej organizacji z mieszczaństwem.

– W Heimatschutzu – dodał, gdy go o to zapytałem – mamy przede wszystkim chłopów i robotników. Oni to stanowią zaczątek tej organizacji.

– A burżuazja? – rzuciłem. Jaki był i jest udział jej w tej organizacji?

– Burżuazja przyłączyła się do niej później. Może nawet lepiej, że później. Burżu-

azja jest bowiem zazwyczaj elementem mniej aktywnym od proletariatu.

...Robotnicy i chłopi, to dziś ludzie ks. Starhemberga, sfera, wśród której się czuje najlepiej, którą porywa na zgromadzeniach.

Książę jest doskonałym mówcą i, jak każdy mówca, lubi te masy, które go oklaskują...

Jakież idee krzewi ks. Starhemberg w masach chłopskich i robotniczych dzisiejszej Austrii?

Idee reformy państwa!

Ten młody arystokrata i polityk rzucił w rozmowie ze mną kilka myśli, mających być głębszem uzasadnieniem propagowanego przez niego w Austrii ruchu.

– System kapitalistyczny, który nazwałbym liberalnym według starych pojęć, ma jedną cechę wspólną z marksizmem – mówił. Tą cechą jest egoizm. I dlatego niema, -- dodał młody książę – różnic między temi systemami, niema różnic ideologicz-

nych, jednym bowiem i drugim ruchem, czy to płynącym z reakcji społecznej, czy też mającym swe źródło w marksizmie, kieruje egoizm klasowy. I jeśli się pragnie likwidacji marksizmu, trzeba reformy systemu kapitalistycznego. Dziś, w Austrii, szef przedsiębiorstwa pracuje na swój i robotników chleb. W ten sposób jego własny kapitał przynosi mu odpowiednie, choć małe oprocentowanie, przemysł rozrasta się, a robotnik ma chleb i pracę. Oto idea państwa korporacyjnego!

– Ruch komunistyczny w Austrii?...

– Można go uważać za skończony – odparł książę. Robotnicy, którzy dawniej byli jego wyznawcami, a którzy mimo to nie przestali być dobrymi Austriakami, porzucili partję komunistyczną i jej idee. Przekonali się bowiem, że dla obrony ich praw i interesów nie potrzeba bolszewizmu, sprawami ich bowiem stały się sprawy państwa. Od chwili, gdy państwo zaczyna bronić praw i interesów robotniczych, ruch komunistyczny traci rację.

Skolei zapytałem księcia o sprawę zmiany konstytucji austriackiej. Książę bowiem wytłumaczył mi konieczność jej dokonania w ten sposób:

„W dawnym parlamencie toczyły się jałowe dysputy w nieskończoność. System parlamentarny został tedy zastąpiony systemem korporacyjnym. W Austrii istnieją 4 Izby, a więc Staatsrat, Wirtschaftsrat, i Kulturrat, które tworzą Izbę 4-tą, t. zw. Bundesrat. Dawniej tylko parlament miał prawo tworzenia nowych ustaw, dziś i rząd to prawo posiada. Każda zaś izba może zajmować się tylko temi sprawami, które do jej fachowych uprawnień należą. Ten system unie możliwia jedną rzecz tak charakterystyczną dla parlamentów: przetargi.”

– Zaraz to panu wytłumaczę – ciągnął książę wesoło. – Niedawno załatwiliśmy z Polską sprawę importu świń. Gdybyśmy chcieli szukać na to aprobaty w parlamencie (w tym dawnym naturalnie parlamencie, który dziś nie istnieje) spewnością reprezentanci radykalizmu społecznego po-

wiedzieliby: „będziemy za tem głosować pod warunkiem...”

Ksiązę zastanowił się przez chwilę.

„...pod warunkiem np. reformy prawa małżeńskiego”.

Roześmiał się wesoło i ciągnął dalej:

– A reprezentanci reakcji społecznej żądaliby znowu od rządu innych koncesyj.

I rezultaty?

– Za cenę uzyskania aprobaty na pożyteczny skądinąd układ gospodarczy, rząd musiałby udzielić kilku koncesyj nic nie mających wspólnego z daną sprawą. Dziś zaś nie może być mowy o koncesjach, bo nie ma miejsca na przetargi. Wracamy do zagadnień polityki zagranicznej.

– Jakie są, zdaniem księcia, perspektywy – zapytałem, – przystąpienia rządu Rzeszy do układu w sprawie Austrii?

Chwila milczenia.

– Czy ksiązę sądzi, że Niemcy przystąpią do tego układu?

– Zobaczymy.

– Osobistość zbliżona do poselstwa niemiec-

kiego we Wiedniu, poinformowała mnie, – mówię, – że jest możliwość opublikowania przez Niemcy indywidualnej deklaracji o niemieszaniu się do spraw austriackich, bez przystępowania jednak do specjalnego paktu. Co książę o tej możliwości sądzi?

– Ja myślę – odparł książę – że Niemcy nie będą robili trudności. Idzie przecież o dzieło uratowania pokoju Europy. Gdyby wybuchła wojna, nie byłoby spewnością zwycięzców, tylko pokonani. Wojny, któraby dziś wybuchła, niktby nie wygrał, wszyscy mogliby na niej tylko przegrać. I dlatego udział wszystkich w pracy dla utrzymania pokoju wydaje mi się konieczny dla interesu ogólnego i dobra poszczególnych państw.

– A jeżeli Niemcy zadeklarują swą dobrą wolę w oddzielnej deklaracji – nalegam.

– Ostatecznie to nie będzie złe – brzmi odpowiedź.

I tu znowu usłyszałem kilka zdań o działalności organizacyj hitlerowskich w Austrii.

Padło bowiem pytanie, co bardziej dla

Austrji jest niebezpieczne: „rząd niemiecki, czy hitlerowskie organizacje?”

– Niebezpieczeństwo tkwi – mówił książę – nie w rządzie niemieckim, ale w organizacjach hitlerowskich, które prowadzą politykę bez pytania o to rządu.

Książę zastanowił się przez chwilę i rzekł:

– Dziś jeszcze mam dowody kontaktów między organizacjami terrorystycznymi austriackimi, a eksponentami rządu niemieckiego.

Mówił to szef bezpieczeństwa Austrji!

– Przez to nie chcę powiedzieć – ciągnął on, – że mieszam w to rząd niemiecki. Możliwe, że eksponenci rządu niemieckiego prowadzą za pośrednictwem terrorystycznych organizacji austriackich działalność na własną rękę. Jestem nawet pewny. Może pan spokojnie napisać – dodał – iż mam dowody na to, że funkcjonariusze tych organizacji są płaćeni przez eksponentów niemieckich.

– Działalność tych organizacji, jak mogłem zauważyć, nie jest teraz zbyt intensywna.

– Dlatego, żeśmy je zniszczyli. Mimo to są

ludzie, którzy starają się je przywrócić do życia. Na szczęście jednak w nasze ręce – książkę cytuję wypadki z ostatnich dni – wpadły listy z nazwiskami poszczególnych szefów terrorystycznych organizacji austriackich, znajdujących się w Niemczech i w Austrii, wysokość subwencji dla poszczególnych organizacji i td.

Mówił mi to szef bezpieczeństwa Austrii!

I zaznaczył:

– Ale mogę wobec pana stwierdzić, że mimo to utrzymujemy w Austrii porządek całkowity. Spokój panuje w Austrii!

Chciałem, by minister bezpieczeństwa Austrii powiedział mi coś nie coś i o konsekwencjach dyplomatycznych swych odkryć. I dlatego zapytałem go:

– Czy o sprawach tych rozmwiali panowie z rządem Rzeszy?

Odpowiedź była kategoryczna:

– Ja nie!

– Ale rząd austriacki, minister spraw zagranicznych?

– Nasz minister spraw zagranicznych poru-

szał tę sprawę z p. v. Papenem, a posel austriacki w Berlinie z ministrem spraw zagranicznych Rzeszy.

– I?...

Ksiązę zastanowił się i ciągnął, jakgdyby głośno myśląc.

– ...,I można mówić w drodze dyplomatycznej”.

...,Gdy szefowie partji nie interesują się tem, co mówią... dyplomaci.”

– Więc sytuacja bez wyjścia?...

– Sytuacja nie jest zbyt niebezpieczna – uśmiechnął się książę.

Tembardziej, że :

– ...Ruch hitlerowski jest wynikiem kryzysu ekonomicznego – kontynuował swą myśl. Sprawy ekonomiczne są zależne od sprawy bezpieczeństwa w Europie. Jeżeli poprawa ekonomiczna będzie postępować naprzód, spokój w Europie będzie coraz to pewniejszy. I świat, a z nim Austria, wybrnie ostatecznie z impasu.

– Czy książę sądzi, że ruch hitlerowski zyska jeszcze w Austrii na sile?

– Ruch hitlerowski w Austrii jest według mnie skończony.

Dwa powody składają się na to:

– Stanowisko społeczeństwa i rządu austriackiego oraz poprawa gospodarcza – mówił.
– Polityka i ekonomja zazębiają się. Ponieważ jest pewna poprawa gospodarcza, miejmy nadzieję, że będzie ona postępowała stale na przód. Poprawie gospodarczej towarzyszy wzrastająca atmosfera spokoju. Wierzmy, że spokój ten będzie trwały.

Wstaliśmy. Ksiązę mierzył swój wielki gabinet pracy długimi krokami. Gabinet Bundesfuehrera Heimatschutzu zdobi kilka pamiątek i podarków, jakie jego gospodarz otrzymał: popiersie Mussoliniego, fotografie przyjaciół, model szybowca i mapa Mülervürtel, miejscowości, gdzie powstała pierwsza organizacja – zawiązek Heimatschutzu, na którego dziś czele stoi Ksiązę.

Ksiązę pokazał mi jeszcze obraz zamku w Efferding, zamku, w którym przyszedł na świat i, w chwilę potem, wiszące nad jego biurkiem klepsydry jego wiernych żołnierzy, któ-

rzy padli w wojnie bratobójczej: Suessenbeck, Wessely, Dorfmeister.

Na jego biurku leżała podkowa.

– Pan jest przesądny?!...

– Znalazłem ją na Węgrzech – powiedział – polując tam niedawno.

– Może to dobry znak – rzekłem wesolo – dla stosunków austriacko-węgierskich.

– Współpraca Węgier i Austrii – rzekł książę – to sprawa zasadnicza dla obydwu stron. Nie widzę ani dla Węgier, ani dla Austrii możliwości życia bez ścisłej współpracy.

– Czy zatem Austro-Węgry?...

Książę nie odpowiedział wprost.

– Trzeba szukać nowych metod współpracy. Nie naruszać niczyjej autonomji narodowej. Pyta pan o nowe metody współpracy. Mogę panu na to odpowiedzieć: nowy system współpracy ekonomicznej, w celu dokonania dzieła unji ekonomicznej. Przede wszystkim Austrija i Węgry mogą tę unję w Europie zapoczątkować.

– A więc Pan-Europa?...

– Pan-Europa ekonomiczna – odparł książę.

I na tym paneuropejskim akordzie skończyliśmy rozmowę.

III

WĘGRY I ŚWIAT

Budapeszt.

Węgry i Austria! Węgry i Jugosławja! Węgry i sprawa marsylska! Węgry, a pakt rzymski. Te nagłówki codziennych artykułów i depesz dziennikarskich posłużą mi jako pytania w rozmowach z szefem rządu węgierskiego i jego ministrem spraw zagranicznych.

Jestem w mieście, które wydaje mi się bardziej malownicze od najpiękniejszych miast Szwajcarji: w Budapeszcie. W mieście, którego obydwie brzegi łączy sześć nad Dunajem zawieszonych mostów. W mieście błyszczącym w dzień słońcem zimnem, które świeci, ale nie grzeje, a w nocy tysiącami światel gór ulic Budy i dolin Pesztu. W mieście, które tętni życiem prostem, nieskomplikowanym i

niewiele powolnym, jak prości, nieskomplikowani i niewiele powolni są jego obywatele. Ludzie uprzejmi i romantyczni, jak Wokulscy i Rzeccy lub lekkomyślni, jak Łęccy z „Lalki” Prusa – jeśli idzie o starsze pokolenie – i niewiele uprzejmi, dyszący żądzą użycia, młodsi, latem kąpiący się w jeziorze Balaton lub pływalniach Budapesztu, a zimą w luksusowych basenach wielkich hoteli, często ubodzy, a jednak eleganccy – tak dobrze nam znani z książek Körmendiego o współczesnych Węgrzech i o współczesnych Węgrach.

Czego pragną współczesne Węgry? Cemu są rozgorzyczone? Wojna dała im niezawisłość. Ale pokój zabrał im $\frac{2}{3}$ ziem i $\frac{1}{3}$ ludności. 8 i pół milionów ludności liczą dzisiejsze Węgry. 3 miliony Węgrów mieszka w Jugosławji, Rumunji i Czechosłowacji. Z dawnych ziem węgierskich Jugosławji przypadła Chorwacja, do której zresztą Węgrzy nie roszczą sobie żadnych pretensyj, ziemie, położone między Drawą i Dunajem oraz cała Wojewodina. Czesi zabrali całą Słowacyznę, północne Węgry i Ruś Karpacką, a Rumuni Sied-

miogród, – do którego reaneksji Węgrzy również nie dążą, oraz część równiny węgierskiej. Oto powody goryczy Węgrów.

Nie sędzę – takie jest moje wrażenie – aby Węgrzy domagali się zwrotu tych wszystkich ziem. „Rewindykacja ziem” – to najdalej idący punkt ich programu. Nie nazwałbym tego punktu najdalszym, gdyby po słowie „rewindykacja” nie wysuwał Budapeszt sprawy „respektowania praw mniejszości węgierskiej w państwach sąsiedzkich”. I wreszcie, gdyby swych postulatów nie nazywał „rozsądnymi”?

„Jakie są postulaty Węgier wobec państw sąsiedzkich”?

To jednobrzmiące pytanie zadałem zarówno prezesowi rady ministrów Węgier, generałowi Gömbösowi, oraz ministrowi spraw zagranicznych p. Kania de Kanya.

Siedzieliśmy w gabinecie premiera węgierskiego.

P. generał Juljusz Gömbös de Jakva odpowiedział mi w kilku zdaniach, z tak charakterystycznym dla ludzi przywykłych do wydawania rozkazów uniesieniem głowy w górę.

P. Gömbös: – „Węgry pragną prowadzić pokojową politykę wobec swych sąsiadów. Również gotowe są do bliskiej współpracy z nimi na następujących warunkach: rewindykacje terytorjalne, uregulowanie spraw mniejszości węgierskich, równość zbrojeń”.

Od uwzględnienia tych warunków, którym dał mi wyraz p. premier Gömbös, Węgry uzależniają współpracę ze swymi sąsiadami.

– A do tego trzeba – taka była moja uwaga – zgody obydwu stron. Czy wierzy pan, panie premierze, w możliwość zgody Czechosłowacji lub Jugosławji, naturalnie w sprawach związanych z zagadnieniami terytorjalnymi?

– Ja nie mogę wypowiadać się o opinii naszych sąsiadów – odparł p. Gömbös krótko. Mogę wyrażać tylko swoje własne przekonania. Nasze żądania, odnośnie rewindykacyj terytorjalnych, są rozsądne i oparte na danych etnograficznych, geograficznych i gospodarczych. Sprawa zaś mniejszości narodowych węgierskich jest dla Węgier sprawą zasadniczą, ponieważ przeszło 3 miliony Węgrów

znajduje się obecnie pod obcemi zaborami.

A jak brzmiała odpowiedź p. ministra Kanyi?

P. Kanya: „Węgry były zawsze za ewolucją pokojową”.

I tu dodał:

– „Powiedziano w Rzymie, że należy szanować granice. Nie myślimy ich zmieniać siłą”.

I po tych słowach przeszliśmy do sprawy konferencji rzymskiej.

*

*

*

P. minister Koloman Kania de Kanya jest dyplomatą ostrożnym i zręcznym. Przed laty 22 był dzisiejszy minister spraw zagranicznych Węgier szefem biura prasowego we Wiedniu, w urzędzie spraw zagranicznych dawnej monarchji austro-węgierskiej, później posłem austriackim w Meksyku. Po wojnie znalazł się w służbie swego kraju. Nie na darmo ten stary pan, o wysuniętej naprzód dolnej szczęce i włosach błyszczących białością, był ongiś

szefem prasowym. Zna on wagę słowa, jak rzadko który dyplomata. I dlatego zapewne, gdy tylko przestąpiłem próg jego gabinetu, z miejsca wręczył mi zgóry napisaną deklarację.

Przeczytałem ją – dotyczyła ona stosunków węgiersko-polskich – i rzekłem.

– Jest niezwykle interesująca...

...Pełen galanterji uśmiech mego rozmówcy.

– ...Ale chciałem zadać panu ministrowi cały szereg pytań z innej dziedziny.

– Proszę mi je zadawać – rzekł – będę się starał odpowiedzieć panu na każde.

– ...Konferencja rzymska! Co sądzi pan minister o jej wynikach?

– Sądzę – odparł min. Kanya – że nasze interesy będą bardzo skutecznie chronione przez Signora Mussolini. Rezultaty zależą od dobrej woli członków Małej Ententy.

– Czy sądzi pan, panie ministrze, że utrzymanie niepodległości Austrii jest możliwe bez współpracy Niemiec?

– Bardzo trudne wydaje się osiągnięcie nor-

malizacji stosunków w Europie naddunajskiej bez udziału Niemiec. Sądzę, że życzeniem Francji i Włoch jest zdobycie współpracy Niemiec. Bez Niemiec nader trudno jest uregulować sprawę Austrii.

– Stosunki Węgier z Rzeszą niemiecką są dobre...

– Nasze stosunki z Rzeszą niemiecką są dobre i przyjazne – odparł minister.

Odczekał chwilę i dodał:

– Z punktu widzenia gospodarczego mieliśmy dobry rok. Podwojono nasz eksport, np. nasz handel zagraniczny z Niemcami był bardzo zadawalający w tym roku.

P premjera Gömbösa również zapytałem o Rzym. Odpowiedź jego była pełna rezerwy.

P. Gömbös: – „Nie można jeszcze niczego precyzować, jeśli idzie o wyniki tych konferencji. Trzeba odczekać” – rzekł, kładąc potężne dłonie na kolanach swych flanelowych spodni.

O ile p. min. Kanyę pytałem o sprawy niemiecko-węgierskie, o tyle p. premierowi Gömbösowi postawiłem pytanie o stosunku Wę-

gier do Francji. Postawiłem to pytanie – tak je uzasadniałem – dlatego, że rozmawiając z p. min. Kanyą o wszystkich sprawach, dotyczących polityki zagranicznej Węgier – tylko o sprawach francusko-węgierskich nie mówiłem.

– Węgrzy żywili zawsze wielką sympatię dla Francji – odparł premier. – Lecz protekcja, jakiej Francja nie przestawała udzielać państwu Małej Ententy, przyczyniła się do osłabienia tych sympatyj. Ale w ostatnich czasach wiele wydarzeń zmieniło oblicze tej sprawy. Mamy nadzieję, że w przyszłości uda się stworzyć atmosferę, która stosunki między Francją a Węgrami uczyni bardziej przyjaznymi.

Premjer Gömbös jest żołnierzem. Ale jest również politykiem i potrafi mówić jak dyplomata. Współczesne Węgry wiążą z nim wiele nadziei. I słusznie. Bowiem rząd jego stanowi epokę w ich historii, a jego program sięga aż do przebudowy i modernizacji struktury narodowej.

– Myślę zawsze z radością o swej niedaw-

nej podróży do Polski – dodał p. Gömbös. – Nietylko, jako człowiek prywatny, ale również, jako polityk i jako żołnierz.

Miło było słyszeć tak pełne serdeczności słowa z ust jednego z najwybitniejszych polityków węgierskich o Polsce.

*

*

*

Węgry znajdują się wszakże w orbicie całego szeregu zagadnień, (które nazwałem „tytułami depesz lub artykułów” w dziennikach), o których właśnie rozmawiałem z ich ministrem spraw zagranicznych.

Zapytałem o stosunek Węgier do Jugosławji, w szczególności zaś o stosunek Węgrów do Jugosławji.

P. min. Kanya odpowiedział:

– Po wojnie, pomimo strat terytorjalnych, w stosunku do Jugosławji, pozostaje zawsze pewna sympatja dla Serbów w opinji węgierskiej. Przyczyny są różne. Przedewszystkiem: terytorja przyznane Jugosławji są mniejsze od tych, które otrzymały inne państwa. Naród

węgierski ma wiele szacunku dla odwagi i zalet wojskowych, które cechują Serbów. Już w r. 1926 proponowaliśmy Jugosławji traktat przyjaźni i nieagresji, który niestety nie doszedł do skutku, gdyż rząd belgradzki nie przystąpił doń spowodu swego stosunku do Małej Ententy. Innym dowodem tego jest, że 21 lipca 1934 r. zawarliśmy układ nader ważny z Jugosławją dla uregulowania sprawy incydentów granicznych i jak również niektórych spraw dotyczących emigrantów Chorwatów, żyjących na Węgrzech, który zadowolił obydwie układające się strony.

Biorąc pod uwagę rezultaty, jakie układ ten dał, ryzykuję uwagę:

– Może był on źle zrobiony?...

– Ależ nie! – woła mój rozmówca. – To my byliśmy zdumieni, że po zamachu marsylskim cała furja zwróciła się przeciw Węgrom. Uczyniliśmy zadość wszystkim zobowiązaniom, płynącym z układu z 21 lipca.

–Twierdzono i mówi się, że Węgry były odpowiedzialne...

– Mówią to – odparł p. min. Kanya – wiem o tem, lecz jest to głupstwo. Myśl o zamachu nie zrodziła się tutaj, nie myśmy inspirowali Chorwatów.

P. Kanya dodał z ożywieniem:

– Ani Węgrzy nie inspirowali Chorwatów, ani Węgrzy nie organizowali zamachu.

Ta aluzja brzmiała interesująco.

– A więc?...

P. min. Kanya odpowiedział spokojnie:

– Macedończyk, który był sprawcą zamachu marsylskiego, nie był Węgrem i nigdy na Węgrzech nie przebywał.

– Janka Pusztą?...

Rozmówca mój uśmiechnął się ironicznie.

– Jeden z mych kolegów, dziennikarz francuski, przebywający w Budapeszcie telegrafował w swoim czasie do swej agencji paryskiej dość dużo o tej sprawie.

(Budapeszteński korespondent Havasa, M. Maurice Négre udał się do obozu w Janka Pusztą i opisał, jak wyglądało przysposobienie wojskowe Chorwatów przez instruktorów węgierskich. Przyp. mój).

P. Kanya znowu uśmiechnął się.

– Tak, tak – powiedział – wiem o tem.

Przeszedłem do Rady Ligi Narodów, która zajmując się sprawą marsylską, zajmowała się również sprawami jugosławiańsko-węgierskimi i zapytałem p. Kanya o samą sprawę tak, jak na jej tle wyobraża sobie przyszłość stosunków między Węgrami i Jugosławją.

– To jest sprawa uregulowana przez Radę Ligi Narodów – odparł p. Kanya. – Według mego przekonania potrzeba trochę czasu, ażeby uspokoić atmosferę. Z naszej strony nie będzie brakowało dobrej woli dla normalizacji stosunków. Wszystko zależy od dobrej wiary Belgradu.

– Śledztwo, przeprowadzone przez władze węgierskie...

– ...zostało ukończone – mój rozmówca kończył za mnie zdanie. – Oddaliśmy wszystko, co należało, do dyspozycji Genewy.

Zapytałem p. min. Kanya o wrażenie i skutki wysiedleń Węgrów z Jugosławji, jakie nastąpiły po zamachu marsylskim.

– Wydalenia zostały ukończone. Ponad trzy

tysiące Węgrów zostało wydalonych z Jugosławii. Wydalenia te były niestety przeprowadzone z wielką brutalnością.

– Sądzi pan, ekscelencjo, że niema żadnego niebezpieczeństwa dla pokoju spowodu spraw między Węgrami i Jugosławją?

– Spodziewam się, że nie – brzmiała odpowiedź.

– Chciałem poruszyć również sprawę zbliżenia austro-węgierskiego – rzekłem.

– Zbliżenia? To więcej niż zbliżenie – odrzekł p. Kanya. – Od czasu dojścia do władzy rządu Dollfussa sytuacja uległa znacznej zmianie. Zwłaszcza, jak rzekłem, od czasu regimu Dollfussa stosunki stały się bardziej intymne.

– Wydało mi się, że dopiero od r. 1934, gdy zawarty został układ między Węgrami oraz Włochami i Austrią...

– Między obu państwami niema sojuszu – oświadczył minister – lecz istnieją stosunki bardziej serdeczne, niż kiedykolwiek. Chciałem podkreślić, że protokoły rzymskie z r. 1934 zawierają pakt konsultatywny. Ta

współpraca między trzema państwami, ta współpraca włosko-austro-węgierska nie stanowi bloku, jak np. blok Małej Ententy, ale jest raczej podstawą pokoju, współpracą nader ścisłą, nader intymną w dziele pokoju i nie wyklucza nikogo, jest otwarta dla każdego państwa, które uzna, że dla dojścia w basenie dunajskim do rozwiązania położenia trzeba wzajemnych poświęceń.

– Pan powiedział, ekscelencjo, że od czasu dojścia do władzy śp. dr. Dollfussa, stosunki między Węgrami i Austrią uległy znacznej zmianie. A jak się one układają z rządem kanclerza Schuschnigga?

– Posiadamy z rządem p. Schuschnigga stosunki oparte na zupełnej szczerości; jest ona całkowita.

I tu mój rozmówca zacytował zdanie, które ongiś wypowiedział wobec niego śp. kanclerz Dollfuss. Brzmiało ono: „Od czasu, kiedy nie jesteśmy małżeństwem, jesteśmy dobrymi przyjaciółmi”.

– Czy powrotne małżeństwo nie jest możliwe? – zapytałem.

– W chwili obecnej nieprawdopodobne. I w końcu – nie jest ono usprawiedliwione potrzebą.

– W tej chwili, ale w przyszłości?!...

– Istotnem jest – odparł minister, że w chwili obecnej to jest wszystko. Szczera serdeczność, atmosfera zaufania i współpracy – to chyba wystarczy dla państw, które się dobrze rozumieją.

...Serdeczność, współpraca, zaufanie, przyjaźń, ale nie małżeństwo.

Czyż tak się nie mówi po rozwodzie, gdy mimo sentymentów po pięknych latach, – przeżytych wspólnie – zakosztowało się już wolności?!

Zresztą: „Pocóż małżeństwo, jeśli ono nie jest potrzebne?”

Pozostaje wszak: „Serdeczność, przyjaźń...”

Czy dawni monarchowie austro-węgierscy nie zgorszyliby się, słuchając tak „nowoczesnych” poglądów obecnego ministra spraw zagranicznych Węgier?...

*

*

*

W czerwonym salonie konferencyjnym węgierskiego ministra spraw zagranicznych, wiszą dwa portrety: w kącie cesarzowej Austrii i królowej Węgier, Elżbiety, a nad kompletem mebli, krytych różowym adamaszkiem – portret Franciszka Józefa.

Para monarsza patrzy ze swych płócien na codzienne narady ministra spraw zagranicznych królestwa węgierskiego. Czy jest zgorazona?

Nie wkraczajmy w dziedzinę metafizyki.

Tembardziej, że...

...W mieszczącym się obok salonu konferencyjnego zielonym gabinecie pracy ministra wisi nad biurkiem fotografia regenta Węgier, admirała Horthyego, który choć konserwatysta w życiu codziennym, pewnością nie jest zgorszony poglądami swego ministra spraw zagranicznych.

IV

U REGENTA HORTHY

Budapeszt.

Była godzina 12-ta, gdy szef kancelarji cywilnej J. W. Regenta Królestwa Węgierskiego, polecił oficerowi dyżurnemu wprowadzić mnie do adjutantury.

Powoli wstępowaliśmy po wyłożonych dywanami marmurowych schodach królewskiej siedziby Regenta Węgier, by po kilku chwilach stanąć przed drzwiami adjutantury oko w oko z wartownikiem, ubranym w białoczerwono-złoty strój z halabardą w ręce.

Adjutant J. W. Regenta Węgier, major de Gerlóczy, powitał mnie serdecznie, jak to tylko Węgrzy potrafią i kilka minut, o które przyszedłem zawcześniej do tego pałacu, skrócił mi opowiadaniem swych wspomnień o Polsce:

mjr. de Gerlóczy spędził czasu wojny wiele miesięcy w Polsce, zachowując ją w milej pamięci.

Była 12-ta min. 15 punktualnie, gdy we drzwiach ukazał się (po skończonym właśnie referacie) szef gabinetu wojskowego Regenta i po chwili o ściśle oznaczonej godzinie mjr. de Gerlóczy odprowadził mnie do gabinetu Regenta.

Z poza biura, ożywionego kwiatem azalii, wstał wspaniale zbudowany, masywny mężczyzna. Od jego postaci biła energja i rozmach, zadziwiający u człowieka 66-cioletniego.

Regent Węgier, Admirał Mikołaj Horthy przeszedł kilkoma mocnymi krokami na moje spotkanie i szybkim ruchem wyciągnął rękę, której uścisk był serdeczny, i wskazując mi fotel, usiadł naprzeciw mnie.

Rozmowa potoczyła się z miejsca. Admirał Horthy należy do rzędu tych najwyższych oficerów marynarki, których pod każdą szerokością geograficzną bez względu na to, czy są Anglikami lub Francuzami, Węgrami lub Po-

lakami, znamy, jako nieskazitelnych gentlemanów. Są to ludzie, którzy wiedzą, co to jest honor, którzy trwają na swym posterunku do końca, nie dlatego koniecznie, aby byli militarystami, ale, aby do końca spełnić swój obowiązek – obowiązek przyzwoitego człowieka, – którzy godnie potrafią nosić swoje proste, granatowe marynarki ze złotymi guzikami, śnieżno-białe kołnierzyki i gładkie, czarne krawaty. W tym właśnie, pełnym prostoty stroju admirałskim, ozdobionym jednym tylko orderem, orderem Marji Teresy – najwyższym bojowym orderem, jaki istniał w dawnej monarchji austro-węgierskiej, a który admirał Horthy otrzymał za zwycięską bitwę w cieśninie Otranto, ciężką odnosząc ranę – w tym właśnie, pełnym prostoty stroju, rozsiadł się mocno w fotelu mój rozmówca i z charakteryzującą go bezpośredniością prowadził rozmowę. Blask ożywienia bił z jego oczu.

– Tak się cieszę – mówił Regent – że mogę panu, jako dziennikarzowi polskiemu powiedzieć, co myślę o rezultatach osiągniętych

przez Polskę: może ona być z nich słusznie dumna.

Takie było pierwsze zdanie, jakie usłyszałem z ust Regenta.

Admirał Horthy ma zwyczaj mówienia obrazowy. Rzuca myśli i podmalowuje je obrazami, najczęściej historjograficznymi lub filozoficznymi. Ma to swe źródło w dziejach ludzkości i filozofji człowieka, który dwa razy w życiu objechał świat, wszystko widział, wszystko przeżył i – wraca do nich.

– My Węgrzy – powiedział – walczymy od tysiąca lat. Złota Bula Węgier nie jest o wiele młodsza od „Magna Carta” Anglii, a jednak...

Zamilkł na chwilę i dodał:

–Parlament węgierski powstał niemal równocześnie z parlamentem angielskim. Podówczas Węgrów było tylu, co Anglików. Teraz jest nas 12 milionów, a Anglicy są olbrzymim narodem.

Regent zastanowił się znowu przez chwilę i rzekł:

– Walczyliśmy przez wieki całe przeciw

przeważającej sile wroga, więc ubywało nas, ale żywotność narodu nie zmniejszyła się, dzięki Bogu.

Pomyślałem o podobieństwach dziejowych Węgier i Polski, o której przywódcach zaczął właśnie mówić Regent:

– Żywię głęboki szacunek dla dostojnej postaci Pana Prezydenta Mościckiego, tego wielkiego męża stanu i myśliciela.

Gdy zaś wypowiedział imię Marszałka (Marszałek żył jeszcze wówczas), wyczułem w jego głosie nutę szczególnego ciepła.

I nie pytając Regenta, co o Nim myśli takie usłyszałem słowa:

– Uważam Go za szczęście dla Polski. Podziwiam w Marszałku Jego prawość i charakter. Jakie to szczęście, że los obdarzył Polskę w przełomowych chwilach tym wielkim i mądrym mężem.

Takie były słowa sternika Węgier o wielkim Polaku.

Nuta wzruszenia ustąpiła miejsca ożywieniu. Regent ciągnął swe myśli. Tłómaczył dla-

czego ma prawo cieszyć się z dzieła pokoju, budowanego przez Polskę.

– Bo widzi pan – takie były jego słowa – wszyscy na świecie bili się ze sobą, tylko Polacy i Węgrzy nigdy. Nigdy te dwa bratnie narody nie podniosły broni przeciwko sobie. To dowód, jak nasze narody odpowiadają sobie, jak się wzajemnie rozumieją, jak są potrzebne sobie.

Regent ma prawo do tej filozofji. Przemaszyna za nią życie.

– Jaka jest rola Węgier w Europie środkowej? – zapytałem skolei mego dostojnego rozmówcę.

Odpowiedź Regenta, jak i moje pytanie, miała charakter ogólny, ale posiadała ona doniosłe znaczenie polityczne.

– Nasze położenie geograficzne – takie było jej brzmienie – jest tego rodzaju, że bez nas nic w basenie Dunaju, ani z punktu widzenia politycznego, ani też gospodarczego nie da się zrobić. Niestety chciało, że wskutek wojny niesłusznie ponieśliśmy niezmiernie straty.

– I...?

– I cóż?... Mogę tylko odpowiedzieć panu stwierdzeniem, że traktat w Trianon pozbawił naród węgierski żywotnych warunków bytu. Skutkiem tego są trudności, z którymi walczymy.

Regent uzasadnił swą myśl komentarzem geopolitycznym.

– Węgry były jednym z tych państw w świecie, które miały wszystko, począwszy od soli, skończywszy na metalach. Teraz nie mamy nic z tych dóbr. Pozostała nam tylko ziemia urodzajna i dobrzy żołnierze. Cóż z tego, że mamy nasze fabryki, gdy niezbędne do produkcji surowce znalazły się po drugiej stronie granicy.

Nie zapytałem Regenta Węgier ani o Czechosłowację, ani o Rumunję. Zapytałem go o Jugosławię.

– Moglibyśmy żyć z Jugosławią w dobrych stosunkach sąsiedzkich – odparł – nie naszą jest winą, że dotychczas nie zostało to osiągnięte.

Regent urwał.

Nie chciał wyjść poza ramy deklaracji Głowy Państwa.

Przez 15 lat, które spędził w tym zamku, tak rzadko dawał wyraz swym poglądom wobec dziennikarzy – może kilka razy – że wolaliby nie mówić zbyt wiele, choć wiele gorczy zebrało się w jego, pełnem miłości dla ojczyzny, sercu.

– Szesnasty rok jestem mieszkańcem tego domu – mówił mi. – Przeszedłem piętnaście lat ciężkich.

Gorzko brzmiały te słowa w ustach wielkiego żołnierza, sprawującego na Węgrzech królewskie rządy. Ale bardziej jeszcze gorzko następne.

– Na początku wszystkie nieszczęścia spadły na nas – mówił. – W ciągu lat powojennych zbiednieliśmy niepomniernie. Każdy Węgier stracił na wojnie życie lub zdrowie i większość tego, co posiadał. Idąc na wojnę wszystko mieliśmy do stracenia, nic do zyskania. Poszliśmy z poczucia obowiązku, ale wojny nie chcieliśmy i idąc na nią niczych nie pragnęliśmy dóbr, niczych ziem.

I cóż stało się po wojnie? Za krzywdą państwa, potoczyła się krzywda ludzka...

Regent umilkł. Przez jego mocne, z jednej bryły sklezione czoło przemknęła chmura. Zmarszczył krzaczastą brew i wyraz jego mądrych, pełnych życia oczu, stał się twardy.

– Ciężko o tem wszystkim mówić – rzekł krótko.

Zrozumiałem go. 16-ty rok mija, gdy wier-ny swemu postanowieniu nie opuszcza Wę-gier, choć tak bardzo żałuje, że np. nie znał osobiście Marszałka Piłsudskiego.

Zrozumiałem jego gorycz. Zrozumiałem, że ma on do niej prawo, ale wiedząc, jak wiele dla Węgier zrobił, rzekłem:

– A jednak Wasza Wysokość potrafił zjed-noczyć Węgry. Czy zjednoczenie narodu wo-bec ciężarów, jakie nań spadły, nie jest rze-czą wielką?

Regent odparł:

– Nigdy nie były Węgry tak zjednoczone, jak teraz. Wszystko, co dobre jest razem. Sku-piliśmy pod hasłem Węgier i ich odbudo-

wy najlepsze i najbardziej wartościowe elementy naszego społeczeństwa.

Skolei rzekłem:

– Węgry straciły ziemie, ale nie utraciły sympatji w świecie.

– Możliwe – odpowiedział Regent. – To prawda zresztą, że Węgry posiadają wiele sympatji np. w Polsce lub w krajach anglosaskich.

Przeszedłem do tragedji marsylskiej.

– Czy Wasza Wysokość sądzi–zapytałem,– że pokój Europy jest zagrożony?

Regent odpowiedział z uśmiechem:

– Wierzę, że nie. Wydaje się bowiem, że wszyscy decydujący ludzie zgodnie uważają, że utrzymanie pokoju jest naczelną koniecznością Europy.

– Co Wasza Wysokość sądzi o decyzji genewskiej w sprawie marsylskiej?

Admirał Horthy odparł:

– W interesie pokoju europejskiego zgodziliśmy się na żądania Genewy. Naczelne mocarstwa uznały naszą lojalność:

Słowa te miały szczególny dźwięk i znacze-

nie w ustach tego wielkiego żołnierza, który potrafił przez całe życie z honorem nosić swój mundur.

Zegar wskazywał minutę przed 1-szą. Czas audjencji mijał.

*

*

*

Gdy wstaliśmy, wzrok mój padł na portret Franciszka Józefa, wiszący na lewej ścianie gabinetu Regenta Królestwa Węgierskiego.

– ?...

– Byłem przez pięć lat, – powiedział Regent adjutantem cesarza i króla.

Zadumał się, jakby biegnąc myślami wstecz.

– Tych pięć lat, obok czasu wojny, to najcenniejsze wspomnienia mego życia – brzmiały ostatnie słowa Regenta.

Jakże piękne były te proste żołnierskie słowa wierności poza grób. Przed laty młody oficer marynarki, adjutant króla i cesarza. Potem...

...Lata służby na wszystkich wodach świata spędził obecny Regent Węgier w nieprzerwa-

nej wędrówce i nostalgji – nostalgji dali i nostalgji kraju, którą tylko marynarze znają.

Potem...

...Gdy wybuchła wojna, został ciężko ranny w bitwie, w cieśninie Otranto, otrzymując za tę bitwę zwycięską i ciężką ranę, najwyższy order wojskowy.

Potem...

...Objął szefostwo sztabu floty, a niebawem dowództwo całej floty austro-węgierskiej.

Potem...

...Nastąpił koniec wojny. I na Węgrzech wybuchła rewolucja komunistyczna Beli Kuna.

...Admirał Horthy stworzył wojska wyzwolenicze w Szeged, wkraczając na ich czele do Budapesztu.

... W r. 1920 parlament wybrał go regentem ze wszystkimi niemal prawami, jakie posiada król.

Dziś...

...16-ty rok mija, gdy Regent Horthy stoi na czele Węgier, ku lepszej prowadząc je przyszłości.

CZY POWRÓCĄ HABSBURGOWIE?

Budapeszt - Wiedeń.

Portrety i fotografie. Portrety i portrety.

W gabinecie pracy Regenta Węgier, admirała Horthy'ego, wisi portret cesarza Austrii i króla Węgier – Franciszka Józefa. Regent mówi o swoim dawnym królu i zwierzchniku z głębokim szacunkiem.

Mężem zaufania Regenta jest premier.



W gabinecie premiera węgierskiego, generała Juljusza vitéz de Jákfai Gömbös, obok portretów Artura Görgey, Stefana Tiszy i Ludwika Battyány – narodowych bohaterów węgierskich, wiszą nad biurkiem wielkich roz-

niarów portrety Regenta Horthy'ego i Franciszka Józefa z okresu jego dzieciństwa.

– Ten sam portret widziałem w jednym z gabinetów Kanclerza Schuschnigga w Wiedniu – rzekłem do p. premjera Gömbösa i zaraz potem zadałem mu pytanie:

– *Jak przedstawia się na Węgrzech sprawa powrotu króla?*

– *Sprawa króla nie jest dziś aktualna na Węgrzech!* – odparł premier bez wahania.

*

*

*

W czerwonym salonie konferencyjnym węgierskiego ministra Spraw Zagranicznych, wiszą dwa portrety: w rogu cesarzowej Elżbiety, a nad kompletem mebli, krytych czerwonym adamaszkiem, portret Franciszka Józefa. Lecz w mieszczącym się obok salonie, tonącym w kolorze zielonym, gabinecie pracy ministra, wisi fotografia regenta Węgier, admirała Horthy.

Czerwony kolor i zielony: miłość i nadzieja.

Miłością Węgier jest monarchja, nadzieją ich jest regent.

Admirał Horthy został zgórą 15 lat temu wybrany dożywotnim regentem z prawami króla; ale na nim kończy się „dynastia”. Z dwu synów Regenta jeden jest inżynierem i w chwili obecnej znajduje się prawdopodobnie w drodze do Teheranu, a drugi pracuje w banku.

W domu pośła polskiego w Budapeszcie poznałem na śniadaniu tego drugiego: kocha on swój zawód, który jest dla niego zawodem serjo, lubi podróże w czasie wakacji, i sporty. Synowie regenta Horthy nie mają aspiracji politycznych, ani tembardziej „dynastycznych.”



– ...Nie dość jest żądać tronu dlatego, że się ma do tego prawo, trzeba na tron zasłużyć talentem i wartościami osobistymi...

– ...Problem monarchji? Jest to poprostu problem modernizacji – problem jej unowocześnienia, dostosowania do czasów dzisiejszych. Nie jest to wyłącznie problem historyczny...

— ...Monarchja w formalnem tego słowa znaczeniu? Nie jesteśmy prorokami, aby mówić kiedy i czy nastąpi ona na Węgrzech.

— ...Ach, pan nie jest monarchistą? I ja nim nie jestem w sensie pojęć „ancien régime'u”, ale jestem nim w sensie racji stanu i porządku w państwie...

— ...Regent Horthy jest gentlemanem w najlepszym tego słowa znaczeniu, można z nim współpracować w atmosferze lojalności absolutnej.

Zdaniami temi zasypał mnie kuzyn pretendenta do tronu węgierskiego, arcyksiążę Albrecht Habsburg, syn byłego głównodowodzącego armją austriacko węgierską, tak dobrze znanego w Polsce arcyksięcia Fryderyka, dziś już bardzo starego pana, nieopuszczającego swego magnackiego zamku w Magyarárvar.

Arcyksiążę Albrecht, członek senatu (czterech Habsburgów. zasiada w węgierskiej Izbie Wyższej), przyszedł spadkobiercą jednej z największych fortun na Węgrzech, może być uważany za t. zw. „nowatora”. Poglądy tego

księcia krwi, o gęstej, falującej czuprynie, pewnością stają się nieraz powodem dysput rodzinnych w rodzinie Habsburgów.

W jego pałacu przy ulicy Eszterhàzy Nr. 24, wyższy oficer marynarki, pełniący przy nim funkcje adjutanta, podaje gościom pękata księgę audjencjonalną do podpisu. Potem przechodzi się przez amfiladę salonów, by spędzić z gospodarzem chwilę, których nie można nazwać mało interesującymi – w atmosferze... portretów i fotografii.

...W gabinecie arcyksięcia Albrechta stoi na biurku stara, poślókła fotografia jego wuja – Cesarza i Króla Franciszka Józefa, z dwu zaś przeciwległych ścian patrzą na siebie: dyktator Włoch, Benito Mussolini i premier Węgier, generał Juljusz Gömbös.

Arcyksiążę Albrecht jest – tłumaczył mi to wybitny heraldyk budapeszteński – z pośród żyjących na Węgrzech Habsburgów austriackich drugą po Fryderyku osobą. Młodzieńczy pretendent do tronu węgierskiego – Otto, rezydujący w zamku w Steenockezeel w Belgji, jest szefem rodu. Z pośród jego wujów: Tos-

caniego Salvatora, Fryderyka, nieżyjącego Karola Eugenjusza i Eugenjusza, jedynie Fryderyk pozostał na Węgrzech z synem Albrechtem.

Arcyksiążę Albrecht Habsburg nie jest zupełnie pewny – jak widać z uwag, które rzucił w długiej ze mną rozmowie – czy monarchja jest problemem prawa czy historii.

*

*

*

...Karol nie abdykował ani w swoim, ani w swej rodziny imieniu. Królem zatem jest jego syn pierworodny Otto.

...W roku 1922, po śmierci króla Karola, która nastąpiła 1 kwietnia na Maderze, późną wiosną zgłosił się hr. Apponyi do rządu węgierskiego – co urzędowo zapisane zostało – i oświadczył, że król węgierski nie koronował się spowodu przeszkód siły wyższej...

Mówił mi to jeden z najwybitniejszych przywódców legitymistycznych na Węgrzech, hr. Ivan Csekonics, przed laty dyplomata austriacki w Waszyngtonie, w Londynie, Paryżu,

Petersburgu, a wreszcie poseł węgierski w Warszawie. Hr. Csekonics jest dziś mężem zaufania Ottona wśród legitymistów węgierskich od drugiego przywódcy legitymizmu (Sigraya) o tyle miarodajniejszym, że pozostaje w bezpośrednich stosunkach z pretendentem.

W antycznym fotelu, w salonie przy ul. Kecskeméti, siedział pan o rasowym profilu starego dyplomaty i tłumaczył mi na czym polega legitymizm węgierski. Słuchając, patrzałem to na jego starannie pielęgnowaną siwą głowę, to na stary sztych, wiszący na ścianie, przedstawiający Metternicha z rozwierzoną czupryną.

– ...Skoro prawa monarchy nie wygasły – taki był sens jego dalszych wyjaśnień, jest więc królem Otton. To zdanie rozpowszechnione jest zarówno na Węgrzech, jak i w Austrii; zdaniem p. Csekonicsa, oczywiście, – „wśród większości społeczeństwa.”

...Te obydwa ruchy jednak: austriacki i węgierski są tylko równoległe.

...Ekonomiczne zbliżenie, jakie życie naka-

zuje, ułatwi później zbliżenie polityczne między Węgrami i Austrią.

Jak wyobrażają sobie legitymiści na Węgrzech dojście do władzy? – ...Tylko przez wybory i w drodze legalnej. Kochamy kraj zbyt silnie, aby ryzykować jego dobro – mówił mi p. Csekonics.

I dlatego:

– Sytuację obecną uważają legitymiści węgierscy za prowizorium, respektując to prowizorium, jako normę prawną.

Legitymiści chcą uszanować formy prawne, konstytucję i demokrację, bo „Sa Majesté” jest... demokratą.

P. Csekonics chce służyć swojemu młodemu monarsze, jak służył jego poprzednikom, ale kwestję jego powrotu na Węgry uważa dziś za nieaktualną.

– ...Kwestja nie jest aktualna, ale może się stać aktualna w każdej chwili – powiada hr. Csekonics i dodaje: „Restaurację uważam za konieczną, ale twierdzę, że trzeba wyczekać odpowiedniej chwili”.

P. Csekonics jest jednym z posłów legitymi-

stycznych. Na 248 członków parlamentu stanowią legitymiści 20⁰/0. Takie jest zdanie obiektywnych obserwatorów. Legitymiści sami obliczają swoje siły na 100 mandatów. Nie znaczy to, aby w parlamencie istniała partja legitymistyczna. Zwolennicy powrotu Habsburgów zasiadają w rozmaitych ugrupowaniach parlamentarnych.



Jak w Austrii, gdzie nawet niektórzy zwolennicy obecnego reżimu noszą w głębi duszy sentyment dla monarchy, na Węgrzech uczucie miłości do monarchji nie wygasło. Przywódca autorytatywnych legitymistów austriackich, były minister dr. Friedrich von Wiesner tłumaczył mi to, gdy go odwiedziłem w Wiedniu przy Bieberstrasse 5:

– Jak widzę przyszłość? – mówił. W unji personalnej. Władcą austriackim będzie król węgierski, będzie on Landsgrafem dla Austrii, duc'em dla Styryi, hrabią Tyrolu itd. itd. Tą osobą jest król Otton – powiedział mi p. Wies-

ner, wskazując na zbiór fotografii, umieszczonych za szybą w starej ramie, a przedstawiających ładne dziecko o bujnych puklach włosów, siedzące na kolanach austriackiego oficera, to znów bardzo przystojnego młodzieńca. To był Otton.

Dr. Wiesner tłumaczył mi, gdzie leży siła jego idei.

– .. Od czasu zakończenia wojny, Austria próbowała różnych metod rządzenia. Były rządy socjalistów, chrześcijańsko-socjalnych, rządy koalicyjne, rządy autorytatywne. Wszystkie te próby okazały się zawodne. Monarchja jest najpewniejszym ustrojem...

Tak mówił p. Wiesner.

– ...Trzeba osoby z autorytetem – akcentował – trzeba monarchy, tkwiącego korzeniami w Austrii.

– ...Austria zna Habsburgów od lat 650. Nie trzeba ich rekomendować. Byli Habsburgowie i będą Habsburgowie...

P. Wiesner spojrzał na mnie i rzekł:

– ... Widzę, że pan jest sceptycznie nastrojony. Zobaczysz pan, że przyjdzie dzień, w któ-

rym się będzie prosić Habsburgów o uporządkowanie sytuacji w Centralnej Europie, bez nich bowiem porządek w Europie nie może nastąpić.

Pan Wiesner jest zdania, że gdyby urządzić plebiscyt, większość opowiedziałaby się za monarchją. I cytuje cyfry: w r. 1933, po zbiorach wysłano 42 tysiące adresów do Ottona, w r. 1934 już 180 tysięcy.

Uśmiechnąłem się. P. Wiesner, który był ostatnim szefem prasowym monarchji na Ballplatzu, a dziś uważany jest przez 35 organizacji legitymistycznych za szefa, przez 35 organizacji, które według niego liczą około 200 tysięcy członków, – nie uznaje przemocy.

– ...Nie lubię bagnetów – odpowiedział mi, gdy go zapytałem, jak zamierza poprowadzić swoje „zastępy”. – Chcę zwycięstwa idei.

– A jeśli pan dojdzie do władzy, czy również nie będzie pan korzystał z bagnetów, na których opierały się monarchje?

– ...Kiedy się ma władzę – odparł p. dr. Wiesner z uśmiechem – nie daje się siły swoim przeciwnikom.

I znowu to samo pytanie: czy dziś problem restauracji monarchji jest aktualny?

– ...Nie dziś, ale może jutro! Któż może przewidzieć, „kiedy”, skoro życie biegnie z tak zawrotną szybkością. W odpowiednim momencie! Jak liczyć czas? Nie na miesiące, ale i nie na lata.

Tembardziej, że...

– ...bez restauracji monarchji habsburskiej nie będzie porządku w Europie. Nie będzie porządku ani w Austrii, ani w basenie dunajskim.

Otóż tu tkwi istota rzeczy. Legitymiści wabią Europę tym porządkiem w Austrii i w basenie dunajskim, roztaczając przed jej oczyma grozę zalewu hitlerowskiego poprzez Austrię, Węgry, Bałkany aż do Bagdadu. Tem widmem wilhelmińskich marzeń myślą zastraszyć Europę, by zgodziła się na restaurację monarchji austriacko-węgierskiej. I tym ciężarem swojej propagandy, przeznaczonej dla Europy zachodniej, przygniatają siebie samych na Węgrzech. Węgry bowiem chcą być

wolne i nic bardziej nie odstrasza ludu węgierskiego od legitymizmu, niż widmo zależności.

Prosty człowiek, fryzjer Sándor z hotelu St. Gellert, tłumaczył mi to nieraz w czasie mego pobytu w Budapeszcie. Mówił mi on, że naturalnie ze wzruszeniem myśli o dawnych czasach przedwojennych, o poczciwym królu z siwymi bokobrodami, który był uosobieniem dobroci, ale że...

...Jak długo będzie żyć Regent Horthy, nie trzeba monarchji na Węgrzech.

I może dlatego nie rozważa się na Węgrzech sprawy następcy regenta. „Jest Regent i byłoby nietaktownie – takie jest rozumowanie Węgrów – dyskutować o tem, jaka forma rządów nastąpi w dalekiej przyszłości”. Węgrzy są monarchistami, to prawda, ale dla nich sprawa restauracji monarchji kończy się w tym momencie, gdy wymawiają nazwisko Horthy’ego.

Tembardziej, że historia Węgier zna precedensy wieloletnich rządów regenckich. Regent Jan de Hunyadi sprawował rządy od 1444 do

1452, Regent Józef Habsburg sprawował władzę na Węgrzech przez lat 50 do r. 1847.

Stałem właśnie przed błyszczącym od werniksu jego portretem. Arcyksiążę Józef Habsburg, którego byłem gościem, wskazując mi portret powiedział z dumą:

– Oto mój dziad!

Arcyksiążę Józef Habsburg jest najpierwszym Habsburgiem z linii węgierskiej. Zpośród pięciu linii – coś dla heraldyków! – linja węgierska najsilniej jest związana z Węgami. To oczywiste. Ojciec arcyksięcia Józefa był komendantem armji honwedów, arcyksiążę Józef jest marszałkiem armji węgierskiej i, jako najpierwszy Habsburg węgierski, zasiada w Izbie Wyższej.

W niebieskim, – zlekka już płowiejącym mundurze feldmarszałka, wychylony z czerwonego, złotem kapiącego kołnierza, obwieszony orderami, feldmarszałek Józef Habsburg mówił mi o sprawach królestwa na Węgrzech:

– ..., Trzeba czekać do chwili, gdy możliwości będą bardziej sprzyjające dla odbudowy (pour refaire) królestwa.

Takie jest zdanie starego arcyksięcia – feldmarszałka, który – nie zapominajmy – przez cztery tygodnie był Palatynem tj. Regentem Węgier. Jemu to król Karol powierzył sprawowanie rządów na Węgrzech i on mianował szefem armji admirała Horthy’ego. Parlament usankcjonował tę decyzję przedostatniego Palatyna Węgier.

Dziś arcyksiążę Józef mieszka w Budapeszcie, w swoim pałacu, położonym w pobliżu siedziby głowy państwa i rozmyśla nad dawnymi czasy. Arcyksiążę Józef pisze pamiętniki. Z dumą spogląda na swego syna Józefa Franciszka, arcyksięcia i doktora.

Stary arcyksiążę prosił mnie, bym odwiedził jego syna. Z przyjemnością uczyniłem zadość temu życzeniu. Było popołudnie, gdym zajechał przed skromny pałacyk, położony na krańcach miasta przy ul. Tapolcsányi (czechosłowacka miejscowość tej nazwy jest dziś rezydencją prezydenta Massaryka, niegdyś należała ona właśnie do arcyksięcia Józefa Habsburga).

Przed gankiem stał mały sportowy sa-

mochód, a na jego masce widniała wielka złota korona. Młody arcyksiążę przyjął mnie w pełnej książek pracowni. Na biurku stała fotografia Mussoliniego z dedykacją. Zdążyłem zauważyć – bardzo to niedyskretnie z mojej strony! – leżący obok list z tym samym podpisem, co na fotografii, a obok zasuszoną gałąź sośniny. Nie zapytałem o list, ale właśnie o tę gałązkę. Młody arcyksiążę powiedział, że pochodzi ona z Topolcsányi. Ponieważ przyszedłem jednak, by i z nim mówić o restauracji królestwa na Węgrzech, więc niech mi będzie wolno zacytować i jego zdanie:

– ...Nie należy przez siłę forsować restauracji. Jeśli się będzie ją forsować, można jej tylko zaszkodzić.

I znowu refren: „Sprawa jest nieaktualna”.



Sprawa restauracji monarchji Habsburgów jest dziś nieaktualna. Takie jest zdanie Habsburgów, którzy pozostali na Węgrzech – Hab-

sburgów zarówno z linii węgierskiej, jak i z linii austriackiej. Takie jest zdanie przywódców legitymistycznych, pragnących służyć młodemu królowi Ottonowi.

Dlaczego sprawa powrotu Habsburgów jest nieaktualna?

Nietylko dlatego, że Mała Ententa mogłaby zrealizować swoją groźbę wkroczenia na Węgry. Nietylko dlatego, że Mussolini nie wyjął jej jeszcze ze swego laboratorium, w którym niewątpliwie przygotowywał epruwetki „habsburskie”, jako odtrutkę na inne prądy. (Ma teraz inne kłopoty: Abisynję). Nietylko dlatego, że Francja nie jest dostatecznie przekonana o groźbie zalewu hitlerowskiego na cały Bałkan po Bagdad, ale przede wszystkim dlatego, że Węgrzy chcą być wolni i, że rząd węgierski, który sprawuje władzę, nie myśli jej oddawać komukolwiek. Myśli natomiast jak zmodernizować królestwo węgierskie bez narażania na szwank miłości dla niego i nadziei, pokładanych w Regencie.



A Regent? Ten Regent, który uważa za swoje najpiękniejsze wspomnienia czasy wojny i czasy, gdy był adjutantem swego starego króla, wspomnienia lepsze od ciężkich lat, gdy sam władzę królewską dźwiga na swych barkach.

Gdyby dziś zażądano tronu węgierskiego od Regenta Horthy, – oddałby go komukolwiek?

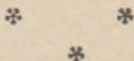
Wiemy, co zrobił dwukrotnie, gdy dwukrotnie żądał go ostatni król Węgier: w kwietniu i październiku 1921.

Wówczas to obecny premier p. Juljusz vitez de Jakfai Gömbös, był posłem do parlamentu i organizował tak zwaną jedność narodową wspólnie z hr. Bethlenem, który sprawował władzę premiera. I, w chwili, gdy nadeszła wiadomość, że król Karol aeroplanem przybył do Sopron, premier Bethlen powierzył bawiącemu z nim w miejscowości Pecs posłowi Gömböswi zadanie obrony Węgier przed... królem węgierskim.

Podówczas kapitan rezerwy, Gömbös, pojechał do Budapesztu i zarządził sprowadzenie wiernych rządowi wojsk; podówczas padły strzały pod Biatorbagy, do królewskiego pociągu.

Król cofnął się do zamku w Tàt, gdzie otoczony przez wojska rządowe skapitulował i został przewieziony do opactwa Benedyktynów Tihany, nad jezioro Balaton, a później wywieziony na Maderę, gdzie oddał duszę Bogu. Taki był koniec!

Początek był bardziej dramatyczny. Król Karol przyjechał autem do Budapesztu, kazał się wieźć do zamku królewskiego i zażądał rozmowy z Regentem. Regent wstał od kolacji, by przywitać swojego królewskiego gościa. I odbył z nim godzinną rozmowę, w czasie której król zażądał od Regenta oddania władzy. To była najcięższa godzina w życiu admirała Horthy. Karol odjechał z Budapesztu – bez korony.



Węgry widzą w swym Regencie nie-tylko symbol zwycięstwa nad rewoltą komunistyczną, ale też gwaranta niezawisłości, który czyniąc zadość ich nadziejom, umiał jednocześnie uszanować ich uczucia miłości.

Któż potrafiłby z większą atencją zachować w Budapeszcie przeszłość?

Te płowiejące mundury, kapiące złotem i książęce pałace, jakie zwykliśmy oglądać w filmach reżyserów amerykańskich, pokazujących nam siedziby „prawdziwych władców”?

Któż umiałby lepiej powiązać „dziś” z „wczoraj”? Któż lepiejby rozumiał, że może „jutro”...

Ale nie „dziś”.

„Dziś” należy do Regenta.

„Dziś” Regent oddaje wszelkie honory swoim Habsburgom, oddając im co habsburskie; nie zapominajmy, że na Węgrzech nie ruszono ani jednej piędzi ziemi dawnej rodziny panującej, a Cesarzowa Zyta, matka Ottona, po dzień dzisiejszy posiada w Budapeszcie kilka domów czynszowych.

W stosunku do Habsburgów: i tych, któ-

rzy pozostali na Węgrzech i są przyjaciółmi Regenta, i tych, co pretendują do tronu, chce zachować Regent to, co arcyksiążę Albrecht nazwał „la loyauté absolue”, uważając zasadniczo sprawę restauracji monarchji za nieaktualną.

„Dziś” jest jego...

„Jutro” nikomu nie jest znane.

„Dziś” restauracja monarchji jest nieaktualna. Co do tego panuje zgodność poglądów od legitymistów począwszy, na rządzie skończywszy.

„Habsburgowie byli i będą” – powiadają legitymiści.

Budapeszt przechowuje ich żywy obraz. Pielęgnuje przeszłość, która płowieje, starzeje się, ale i... odradza.

Czy restauracja monarchji jest możliwa?

„Dziś” jest nieaktualna! – brzmi zgodna odpowiedź.

A jutro?...

Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Cóż dopiero w obcym?

VI

BAŁKANY: JUGOSŁAWJA

Beograd.

Jest wieczór. Pociąg sunie powoli. Gdy tylko tracimy z oczu trzepocący na wietrze węgierski sztandar czerwono-biało-zielony i mijamy dwa wielkie napisy, ustawione po obu stronach toru: „Jugosławja” – pociąg przystaje na chwilę w szerszem polu. Tu oczekujący go na linii pasa neutralnego urzędnicy jugosłowiańscy wsiadają, by jeszcze przed stacją graniczną rozpocząć swą pracę.

„Paszporty”. „Rewizja celna”. „Skąd pan przybywa?”. „Ile pan wiezie pieniędzy?”. „Pan był na Węgrzech?”. „Jak długo?”...

Szurgot ciężkich żołnierskich butów, długie wojskowe płaszcze po kostki, płaskie kaskie-

ty i język terkoczący, jak karabin maszynowy, pełen samogłosek, wypowiedzianych głośno, z naciskiem.

Rewizja jest skrupulatna. Poduszki wszystkich przedziałów są starannie przerzucane. Szybkiemi, wprawniemi ruchami podrzucają je celnicy w górę, oglądają i układają na miejsce.

„Subotice”. Jesteśmy na stacji granicznej. Wojsko, policja, żandarmerja – młode, rosłe chłopaki. Ciężkie żołnierskie buty, płaszcze po kostki, kaskiety na bakier. Biegająca.

Kiedyś już to widziałem. Było to dawno. Pamiętam ten obraz, jak przez mgłę: carska Rosja.

„Paszporty”. „Paszporty”. „Paszporty”.

Paszporty na granicy i paszporty w pociągach wewnątrz kraju. Rewizja bagażu w wagonach i na dworcach. Ale, czyż można się dziwić?...

Portret króla Aleksandra, niebiesko-białoczerwone sztandary, kirem owinięte – mówią dlaczego...

... We mgle wieczornej, otulony w kożuch,

stoi na granicy Jugosławji z karabinem w ręce żołnierz i czuwa.

*

*

*

Jugosławja wydaje na wojsko 2.132.294 dynarów, na służbę bezpieczeństwa 569.604. Stanowi to razem czwartą część jej budżetu. Każdy dzień spokoju kosztuje Jugosłowian 10.142.186 dynarów.

Dużo. Ale też za swą wolność dużo zapłacił ten twardy naród. Przeszedł 500-letnią niewolę turecką, wojny bułgarskie, krwawą rzeź wojny europejskiej i śmierć Króla, który był twórcą państwa, jego ostoją i nadzieją.

Jugosławja pragnie zachować życie tych wszystkich, którzy jej przewodzą: małego Piotra II, Króla-dziecka, które przeżyło największą tragedję: straciło ojca i dzieciństwo, Regenta Księcia Pawła, swego premjera, ministrów i tych wszystkich, którzy służą jej sprawie.

I dlatego...

...Na ulicach Beogradu stoją żandarmi – młode, rosłe chłopaki.

... Ciężkie żołnierskie buty, płaszcze długie po kostki.

Stoją i kierują ruchem przechodniów.

Po wąskim trotuarze sunie zwarta fala spacerowiczów. „Corso” popołudniowe miast południa.

„Nie schodzić na jezdnię” – wołają żandarmi.

Liczę pięćdziesiąt drobnych kroków. I znowu:

„Nie schodzić z trotuaru.”

Co pięćdziesiąt kroków żandarm na głównych ulicach Belgradu.

Belgrad, to miasto, w którym Wschód styka się na każdym rogu ulicy z Zachodem; styka się na każdym kroku, na każdym 25 kroku – między jednym, a drugim żandarmem.

Belgrad jest miastem niewielkiem.

Z głównych ulic można widzieć puste malownicze, śniegiem zasypane okolice, któ-

re może kiedyś wypełnią się drapaczami chmur.

Dzisiaj przyszła stolica Bałkanów, a jeśli nie stolica, to brama wypadowa na Bałkan, na Azję, na Syrię, Persję i Irak, na Bagdad – stanowi jeszcze materiał surowy. I to jest jej siła. Siła młodości i biedy, która starzeje się wolniej, niż dobrobyt.

Jugosławja liczy 13.934.038 mieszkańców. I niema pretensji do roli mocarstwa. Jest pełna skromności, tej skromności, którą mają tylko ludzie Wschodu, skromności, którą cechuje wiara, że przyjdzie kiedyś dzień wyzwolenia ze wszystkich więzów i dzień zapłaty za wszystkie zniewagi.

Tę wiarę daje jej historia walk zwycięskich i położenie geograficzne.

Droga na Bagdad...

Ze starej, już trawą porosłej Cytadeli belgradzkiej, która wytrzymała w roku 1914 atak austriacki, widzi się, jak na dłoni kierunek tej wielkiej drogi.

19 stycznia 1916 roku, gdy Belgrad, po sławnej ofensywie Mackensena, zbombardo-

wany i zniszczony, był już w rękach wojsk państw centralnych, stał na szczycie cytadeli belgradzkiej Wilhelm II, snując marzenia o drodze Berlin-Bagdad.

„19 Janer 1916”, ta data wyryta jest na szarej ławce, zdobiącej aleję starej twierdzy – dziś miejsca spacerów belgradzkich. Przystają sobie ludzie i, wpatrując się w oślepiająco białą dal Wschodu, rozpoczynające się od znieruchomiałego pod lodową skorupą Dunaju i Sawy, na której niedawno przerzucono most, łączący Beograd z Zemuniem, dawnym Zemlinem, wysuniętą twierdzą austriacką, z której padły pierwsze strzały w wielkiej wojnie w r. 1914. Sawa nie dzieli już Wschodu od Zachodu. Most, którego budowę ukończono niedawno, połączył dwa światy.

Jugosłowianie zrealizowali marzenia Wilhelma II, ale dla siebie i dla przyszłości Jugosławji, której stolicę chcą zrobić przyszłą stolicą Bałkanów.

W głębokim przekonaniu, że czas pracuje dla nich, pragną wytrwać w pokoju. I tu

tkwi istota ich postawy, ich polityki, ich dążeń.

Rozmawiałem o sprawach jugosławiańskich ze wszystkimi bodaj mężami stanu, kierującymi losami państwa.

P. Bogoljub Jewticz, premier i min. spraw zagranicznych Jugosławji, przyjął mnie – gdy był premierem – w prezydjum rady ministrów. Rozmowa trwała blisko godzinę. Siedzieliśmy przy niskim, tureckim stoliku; rozmówca mój, przechylając nieco w bok dużą głowę, odpowiadał na każde moje pytanie szczerze. Nie był to zwykły wywiad, w którym dziennikarz pyta, a minister dyktuje odpowiedzi, była to rozmowa, która miała mi, jak i inne rozmowy belgradzkie, posłużyć za materiał do zrozumienia wtycznych linii polityki Jugosławji.

Zapytałem p. Jewticza:

– Jaki wpływ na nastrój i politykę Jugosławji wywarł zamach marsylski?

– Zjednoczony naród jugosłowiański – odparł premier Jewticz – zniósł okropny cios marsylski ze spokojem i dostojeństwem, da-

jąc tem dowód, że jego jedność nie może być naruszona przez żadną akcję terrorystyczną, nawet o charakterze międzynarodowym, jak właśnie ta.

Zastanowił się przez chwilę, poczem dodał:

– I że właśnie strata tego wielkiego Wodza, który jest symbolem męczeństwa i jedności, może tylko wzmocnić unję narodową trzech gałęzi jednego drzewa – Jugosławji.

Tyle p. Jewticz.

Rząd jugosłowiański wie dużo więcej o zamachu marsylskim. Czemu nie powiedział całej prawdy w Genewie? Zapytałem o to pewną wybitną osobistość w Belgradzie. Odpowiedź jej brzmiała:

– Gdybyśmy powiedzieli całą prawdę o Marsylji, albo my, albo pewne mocarstwo musiałoby wyjść z Ligi Narodów. Pozostaliśmy w Lidze. Powiedzieliśmy, cośmy mogli. Mocarstwo to musiało wysłuchać części prawdy. Inne mocarstwo wzięło na siebie

uregulowanie sprawy zbrodniczej przeciw Jugosławji działalności. Możemy czekać.

Kto inny znowu rzekł do mnie:

– Wiemy, że *nietylko* Węgry zorganizowały zamach na naszego Króla. Milczeliśmy, gdy mogła być mowa o pewnem mocarstwie. Atakowaliśmy tylko Węgrów. Wszyscy jednak wiedzieli o kogo również chodziło. Przyjdzie jeszcze dzień, gdy powiemy wszystko – co wiemy o zamachu marsylskim.

– Kogo Jugosławja lęka się najbardziej Węgrów, czy Bułgarów? – zapytałem.

– Ani jednych, ani drugich. Z Bułgarią znaleźliśmy wspólny język – odparł pewien polityk, zaznaczając: – I Węgry wpierw, czy później, porozumieją się z nami. Możemy się lękać tylko Włochów. Dlatego podnieśliśmy nasz budżet wojskowy. Nie jesteśmy dziś tak silni, jakbyśmy tego pragnęli. Przyjdzie czas, gdy okrzepniemy i wówczas nie będziemy już mieli powodów do bania się kogokolwiek. To jest siła nasza, siła młodości.

Pewien mąż stanu rzekł do mnie, gdym go pytał o stosunek do Węgrów:

– Węgry? Nie jesteśmy zadowoleni z ich polityki rewizjonistycznej i z ich postępowania w stosunku do nas. Muszą zrozumieć Węgrzy, że ich rewizjonizm do niczego nie doprowadzi. Jeśli zaś idzie o nas, *to uprzedzamy, że gdyby kiedykolwiek stanęła na porządku dziennym świata rewizja granic, to my upomnimy się o nasze mniejszości, które pozostały we Włoszech i Austrii.* Jeśli idzie o Węgrów, to nie chcemy im piędzi ziemi zabierać, i dlatego byłoby i dla nich lepiej, żeby zrezygnowali ze swego rewizjonizmu.

– Rewizjonizm węgierski godzi bardziej w Czechosłowację, niż w Jugosławię – zauważyłem.

– Jesteśmy z Czechosłowacją związani przymierzem i jej sprawa jest naszą sprawą.

– Czy jest to związek serdeczny?

– My, Jugosłowianie, jesteśmy realistami – odparł mój rozmówca.

I to prawda. Politykę jugosłowiańską cechuje realizm.

Rozmawiałem w Belgradzie z pewnym wy-

bitnym specjalistą do spraw polityki międzynarodowej o przyszłości Bałkanów.

– Bałkany wogóle, a Jugosławja w szczególności, mogą się lękać trzech państw: Włoch, Niemiec, Rosji, – odparł mi. Włochy są dziś jedynym poważnym przeciwnikiem Jugosławji na Bałkanie. Niemcy nie są dostatecznie silne, by znowu mogły myśleć o ekspansji na Wschód. Rosja tak samo. Musimy zatem myśleć tylko o Włoszech.

– Macie doskonałą armję...

– To nie jest dla nas pociechą.

– Mówiono mi w Budapeszcie o sympatji dla Jugosłowian – rzekłem.

– Ta sympatja była wzajemna. Lud serbski lubi Węgrów. Węgier był zawsze symbolem rycerskości. Współudział Węgrów w organizacji zamachu marsylskiego załamał wiarę ludu jugosłowiańskiego w rycerskość Węgrów. Wolelibyśmy, by nas nie uważano na Węgrzech za dzielnych żołnierzy, – lecz by nam politycznie dano spokój.

— — — — —

Kiedy w czasie rozmowy z p. Jewticzem zapytałem go:

– Czego potrzeba dla uspokojenia stosunków jugosłowiańsko-węgierskich? – otrzymałem taką odpowiedź:

– Dla uspokojenia stosunków jugosłowiańsko-węgierskich trzeba, – aby Węgry spełniły swój obowiązek dobrych sąsiadów. Gdy spełnią ten obowiązek, stosunki będą dobre.

Kiedy zaś skoiei zapytałem o stosunek jego rządu do paktów rzymskich, odparł:

– Uważamy pakty rzymskie za początek wielkiej akcji organizacji pokoju.

– Trwałość paktów rzymskich uzależniona jest od udziału Węgier. Czy Jugosławja zgodzi się na ich zaproszenie? – brzmiało moje pytanie.

– Naturalnie, – odparł p. Jewticz. Pod pewnemi warunkami...

Nie zostałem upoważniony przez p. Jewticza do zacytowania tych warunków, ale mogę powtórzyć to, co mi powiedział w Bel-

gradzie pewien wybitny specjalista do spraw międzynarodowych:

– Węgry – mówił mi – jak zresztą wszystkie państwa interesujące się Jugosławią, muszą uszanować spokój wewnętrzny Jugosławji i jej integralność. Wówczas nie będzie powodu do nieporozumień.

Nieporozumienia, tego rodzaju nieporozumienia, bywają niebezpieczne.

Czy możliwa jest wojna spowodu zatar-gów jugosłowiańsko-węgierskich?

Odpowiedź brzmi: „Nie”.

– Jeżeli ktokolwiek myśli w Europie centralnej o wojnie, to nie Jugosławja – powiedział mi p. premier Jewticz.

Odczekał chwilę i dodał:

– Jugosławja będzie tylko bronić integralności swego terytorjum, jeżeli po temu zajdzie potrzeba.

Zacytowałem tylko niektóre odpowiedzi p. Jewticza.

P. Jewticz był mężem zaufania zmarłego Króla. Pragnął on dla swego kraju pokoju.

Ten pokój jest potrzebny Jugosławji dla okrzepnięcia wewnętrznego.

Ten pokój jest potrzebny również Europie. Wydaje mi się, że wśród wątpliwości, jakie w sprawie pokoju Europy powstają w umyśle p. Jewticza, jest pewna kwestja, która zajmuje od niedawna poważne miejsce. Jest to sprawa Habsburgów.

Beograd, idąc w ślady Pragi, odrzuca zgóry tę myśl.

„Habsburgowie?” – powiedziano mi w Belgradzie – „Nigdy!”

I umotywowano to w ten sposób:

– Węgry są królestwem. Mogą wybrać sobie każdego króla. Byleby nim nie był Habsburg. Powrót Habsburgów stałby się bowiem zapowiedzią Austro-Węgier, Węgry zaś, usposobione proniemiecko, wepchnęłyby i Austrię w ręce Berlina. Cóżby z tego wynikło? I my mamy do tego dopuścić?...

Uśmiechnąłem się. Przypomniała mi się bowiem wschodnia anegdota, opowiadana przez jednego z b. ministrów spraw zagra-

nicznych Jugosławji o kupcu tureckim i myszy.

Oto jej treść:

Wśród nocy w mieszkaniu kupca rozległ się strzał. Przerażona małżonka i dzieci wbiegły do pokoju męża i ojca, a widząc go z fuzją w ręce, zapytały o przyczynę strzału. Kupiec odparł tajemniczo: „Mysz”. I opowiedział, jak to zbudziła go ze snu mała myszka, która przebiegła mu przez brzuch. „Nie było innej rady – mówił – jak zastrzelić mysz. Nie mając niczego innego pod ręką schwyciłem fuzję i strzeliłem”.

– „No, dobrze – zapytała go żona – ale czemu aż z wielkiej fuzji strzelałeś do małej myszki?”

Nato zaś kupiec:

„Pomyślałem, że za myszą pójdzie kot, za kotem pies”.

„Przez mój brzuch?”...

Otóż tak jest z tym stosunkiem Jugosławji do sprawy Habsburskiej.

...A może i do sprawy węgierskiej...

VII

SPRAWA CHORWACKA

Beograd-Zagrzeb.

Jugosławja w ubiegłym roku poniosła niepowetowaną stratę: zamordowano jej króla – zjednoczyciela i organizatora państwa. I tego morderstwa nie mogła pomścić, bo nie chciała wywoływać wojny. Może po latach, gdy okrzepnie wewnętrznie, zapłaci za tę krzywdę, o którą nie upomnieli się, wbrew obietnicom jej przyjaciele z zachodu, godząc się z tymi, których Belgrad uważał za współautorów zamachu marsylskiego. Może po latach, gdy Jugosławja będzie silna i zjednoczona, zapłaci. Ale nie dziś. Dziś zaciska pięści i czeka. Ludzie wschodu umieją czekać.

Nie jest trudno zrozumieć, czemu Belgrad pragnie tak bardzo spoistości wewnętrznej całej Jugosławji.

– Śmierć króla-męczennika zjednoczyła nas. Jego polityka, jego dzieło żyje. Wyrazem tej jego polityki jest nadana Jugosławji konstytucja, która ogłosiła organiczne zjednoczenie narodu i państwa, oraz zniosła formacje polityczne, żerujące na antagonizmach regionalnych i religijnych trzech gałęzi Jugosławji. – Oto konkluzja rozmowy, jaką przeprowadziłem z prezesem belgradzkiej Skupstiny, p. Kumanudi'm.

Spędziłem z prezesem narodowej reprezentacji Jugosławji, a uprzednio ministrem, dłuższy czas na rozmowie w jego gabinecie, poczem udaliśmy się razem do siedziby parlamentu jugosłowiańskiego. Gmach ten mieścił ongiś maneż, później teatr, aby obecnie stać się siedzibą przedstawicielstwa narodowego.

Gdyśmy stali w pustej sali Skupstiny, zapytałem p. prezesa Kumanudi'ego, który mnie po niej oprowadzał, czy tu właśnie rozegrała się tragiczna scena zamordowania wodza chorwackiej partji chłopskiej, Radica i 3-ch jego kolegów partyjnych,

co – jak wiadomo – stało się przygrywką do późniejszych zarządzeń króla Aleksandra: zniesienia wszystkich partyj i nadania Jugosławii nowej konstytucji.

– Nie – odparł mój rozmówca. – Scena ta rozegrała się w dawnym gmachu Skupstiny, który obecnie stoi pustkami. Gmach obecny nie był terenem walk między przywódcami partyj i gałęzi narodowych.

W tej nowej siedzibie parlament jugosłowiański składał się z 2-ch tylko grup politycznych: obie one były prorządowe i nosiły nazwy „Jugosłowiańskiej Partji Narodowej” i „Jugosłowiańskiej Partji Ludowej”. Wszystkie inne ugrupowania, t. zw. „Partje z przed 6 stycznia” nie były reprezentowane w ostatniej Skupstynie, istniały nielegalnie i znajdowały się w ostrej opozycji do rządu. Byli to dawni radykałowie serbscy, demokraci serbscy, klerykali słoweńscy, ks. Koroszecca i chorwaci z pod znaku nieżyjącego Radica, zastąpionego przez dr. Maczka.

Niedawno, bo dopiero przez obecny rząd regencyjny, wypuszczony z więzienia, dr.

Maczek stawiał do wyborów na czele listy zjednoczonej opozycji serbsko-chorwackiej.

Serbowie już od kilkudziesięciu lat przed wielką wojną światową mieli własne państwo niezależne. Chorwaci znajdowali się pod zaborem węgierskim. Słoweńcy byli pod zaborem austriackim. Te trzy gałęzie jugosłowiańskie różnią się tradycjami państwowymi, religją i kulturą, natomiast pod względem językowym między Serbami i Chorwatami nie ma właściwie różnic, język słoweński jest bardzo zbliżony do serbsko-chorwackiego, tak że rozumieją go swobodnie nie tylko pobliscy Chorwaci, lecz i dalecy Serbowie. Choć w mowie nie ma różnic między Serbami, a Chorwatami, w pisowni jednak jest inaczej, Chorwaci posilkują się alfabetem łacińskim, Serbowie zaś używają cyrylicy. Potrzeba Jugosławji jakiegoś Kemala, aby ujednolicił alfabet. Pod względem religijnym również zachodzą w Jugosławji wielkie różnice: wszyscy Słoweńcy i znaczna większość Chorwatów są katolikami; Serbowie naogół wyznają prawosławie, ale

w Bośni i Hercegowinie mieszka duża grupa Serbów i Chorwatów wyznania mahomekańskiego.

Serbów liczy Jugosławja 5 i pół miliona. Na ołtarzu wspólnoty jugosłowiańskiej złożyli oni swą dumną nazwę niezależnego państwa „Serbja”, okryte sławą sztandary bojowe i wielowiekowe męczeństwo w obronie wiary chrześcijańskiej i wolności narodowej. Chorwatów jest 4 i pół miliona; wnieśli oni w posagu Jugosławji kulturę zachodnią, urodzajne ziemie i tęsknotę do własnej państwowości. Słoweńców naliczyć można półtora miliona; odznaczają się oni zdolnościami organizacyjnymi, pracowitością i wysokimi wartościami moralnymi. Resztę ludności jugosłowiańskiej stanowią Bułgarzy, inaczej zwani Macedończykami, Węgrzy i Niemcy – na północy, Włosi i Albańczycy – na zachodzie, Turcy – na wschodzie i wszędzie w niewielkich ilościach rozsiani Żydzi. Jugosławja – zwana poprzednio Królestwem Serbów, Chorwatów i Słoweńców – ma stopić te wszystkie ludy w jeden naród.

– Dwa pokolenia wystarczą – mówił mi jeden z wybitnych polityków belgradzkich – aby te różnice zostały zatarte i trzy bratnie szczepy zlały się w jeden naród.

Ale dziś jeszcze zjednoczenia tego niema.

Zepchnięci na plan drugi przez Serbów, zaczęli się Chorwaci organizować w nowem państwie przeciw Belgradowi. Zapłacili zato życiem dwaj Radice, Basarycek i inni. Później przyszły prześladowania, areszty, więzienia. Rozpoczęła się polityczna emigracja chorwacka, znajdującą chętną pomoc u najbliższych sąsiadów: Włochów i Węgrów. Tam zaopatrywano ich nie tylko w środki spożywcze i pieniężne, ale też w materiały wybuchowe, które głośno dawały o sobie znać w pogranicznych miejscowościach Jugosławii. Już w styczniu ubiegłego roku na głównym placu Zagrzebia, gdzie wznosi się wspinały pomnik Bana Jelatica, narodowego bohatera Chorwacji, wskazującego szablą w stronę Węgier: „Oto, gdzie wasz wróg historyczny”, miał być dokonany zamach na króla Aleksandra. Zamach się nie udał, ale

skłonił króla do wręczenia żonie testamentu, ustalającego sprawę następstwa tronu i wyznaczającego regencję. Testament ten przydał się w pół roku później i uratował Jugosławję od chaosu, a może i od rozbicia.

Czego pragną Chorwaci? I skąd się wzięli wśród nich królobójcy? Pytanie to zadałem w Zagrzebiu kilku politykom zarówno z obozu separatystów, jak i państwowców, a także zwykłemu szoferowi, reprezentującemu apolityczny głos opinii publicznej.

Mój szofer mówił tylko po chorwacku, ale zrozumiał pytanie i odpowiedział mi w swym języku, mocno gestykulując, bym skolei ja pojął jego proste, ludzkie myśli.

Sprawę przedstawił mi szofer pogładowo. Ukrył w drugiej dłoni palec wielki i wskazujący, a pokazał trzy pozostałe:

– Ten środkowy najdłuższy – powiada mi – to jest Srb; trzyma się prosto i wyrasta ponad inne. Ten drugi – serdeczny jest nieco mniejszy i przygięty ku dołowi to Hrwat, a najmniejszy – to Słoweniec. Niczego nie

chcemy więcej – mówił, wpijając we mnie swe błyszczące oczy, – tylko, żeby te palce były przy sobie, ale nie gięły się przed środkowym. Aby ich nie łamano do połowy.

Tak ujmuje sprawę narodową człowiek prosty. Co mówią politycy? Inaczej brzmią wywody antyrządowca, inaczej prorządowca. Są one sobie dżametralnie przeciwne. Sądząc, że prawda będzie leżeć w środku.

– Jaka jest istota nieporozumień chorwacko-serbskich? – Zadałem jednemu i drugiemu identyczne pytania.

– Jest to spór dwóch narodów, które jednocząc się w roku 1918, całkowicie i z własnej woli, popełniły błąd historyczny, gdyż utworzyły wspólny związek, nie znając się dokładnie. Serbowie i Chorwaci to dwa narody z odmienną mentalnością, kulturą i historią, – oświadczył mi przedstawiciel separatystów. – Nigdy Chorwacja, nawet za czasów Cesarstwa Rzymskiego, nie była złączona z Serbią. Granica między Serbią i Chorwacją biegła tam, gdzie graniczyło Bizancjum

z zachodniem Cesarstwem Rzymskiem. Poza historją dzieli nas religja i kultura. My reprezentujemy katolicyzm, kulturę zachodnią, piszemy latinicą, Serbowie są prawosławni, należą do kultury wschodniej, używają cyrylicy. Zagrzeb jest ostatnią stacją zachodnią obecnej Jugosławji, Beograd – to Bałkan. Beograd, jak dawna Rosja, ma swą Kamyryllę, swój dwór carski, swych popów. Zagrzebowi odebrano wszystko. Mam panu powiedzieć, jaka jest istota sporu naszego? Tak sama, jak między carską Rosją, a walczącą o wolność Polską. Jak Polska pozostała polską i przetrwała walkę z caratem, tak i Chorwacja pozostanie chorwacką.

Zupełnie inaczej wypadła odpowiedź zwolennika jedności państwowej. Oświadczył on:

– Istota nieporozumień chorwacko-serbskich tkwi w różnicach religijnych. Kler katolicki walczy z cerkwią prawosławną i to wyolbrzymia nieporozumienia. Kryzys ekonomiczny je powiększa. W istocie jesteśmy jednym narodem, mówiącym wspólnym ję-

zykiem, mogącym utrzymać się na widowni dziejowej tylko w łączności. Bez niej zostaniemy pochłonięci przez obcych i wrócimy do stanu niewolnictwa, w jakim przebywaliśmy przez wieki.

Skolei zadałem obu rozmówcom drugie pytanie: Jaki jest procent niezadowolonych Chorwatów?

– 90⁰/0 ludności – oświadczył bez zająknięcia pierwszy.

– Może 10⁰/0 i to z pośród dawnych oficerów austriackich i dawnych urzędników, którzy potracili stanowiska, – odrzekł z mniejszą pewnością drugi.

– Chorwaci są narodem chłopskim – uważylem. Czy chłopci chorwaccy zadowoleni są z obecnego stanu rzeczy?

– Nie. Chłopi chcą swobód politycznych – brzmiała jedna odpowiedź.

– Tak. Widząc, że rząd uwzględnia ich postulaty ekonomiczne, chłopci chorwaccy są za rządem, – odpowiedział drugi.

– Jakie zarzuty stawiają Chorwaci Serbom? – pytałem dalej.

– Upośledzenie i prześladowania – mówił separatysta. – Pod zarządem węgierskim miała Chorwacja autonomję, miała swój sejm, własną administrację, szkolnictwo i sądownictwo, swój samorząd gospodarczy. Od chwili powstania wspólnego państwa, utraciliśmy wszystko. Dzień 6 stycznia 1929 roku, gdy król zawiesił parlament i skasował partje, był ostatnim epizodem walki z odrębnością chorwacką. Serbja ma swego patryjarchę i swoje sztandary w cerkwiach. Chorwacja w swych kościołach nie ma do tego prawa. Belgrad chce, abyśmy z Chorwatów stali się Jugosłowianami. Czy Serbom też każe Belgrad przemienić się w Jugosłowian? Nie. Serbowie zachowują swą serbskość, są oni w nowem państwie narodem uprzywilejowanym. Mają wszędzie pierwszeństwo: w wojsku, w administracji, w sądownictwie, w szkołach. Na 150 generałów niema ani jednego Chorwata. Prześladowuje się każdego Chorwata, który mówi, że gotów jest współpracować z Serbami, byle zaspokoiono jego warunki. „Warunki” już są zbrodnią prze-

ciw państwu. Sądy skazały tysiące Chorwatów na dożywotnie więzienie za działalność chorwacką. Od kul morderczych zginęli Stefan i Paweł Radice, Basarycek, Szugluj, jedni w Skupstynie, inni na ulicy. Około pięciuset Chorwatów siedzi po różnych więzieniach Czarnogórza, w Nowym Bazarze, w Sondiaku. Pozatem wielu Chorwatów zostało skazanych na wysiedlenie z kraju. Wystarczy dla sędziego-Serba być Chorwatem, aby wydać wyrok skazujący.

Tak z rozżaleniem mówił mój pierwszy rozmówca. A cóż powiedział drugi o zarzutach, stawianych Serbom przez Chorwatów?

– Zarzuty? Jeśli proteguje się w administracji Serbów, to dlatego, że Serb jest uosobieniem siły i tężyzny narodowej, gdy Chorwat ma charakter miękki i słaby. Co do wojska, to prawda, że nie ma jeszcze ani jednego generała Chorwata, ale zato marynarka jest w rękach Chorwatów. Na jej czele stoi admirał Polic, Chorwat z urodzenia. W wojsku młodszy oficerowie też są Chor-

watami. Za lat dziesięć będziemy mieli 20–30 generałów Chorwatów. Nie mamy ich dziś, bo nie mieliśmy dawniej, jak Serbowie, własnej armji.

– Jakie są postulaty Chorwatów?

– Separatysta wyrecytował mi je jednym tchem:

– Zagwarantowanie Chorwacji rozwoju politycznego, kulturalnego, ekonomicznego i religijnego. Uznanie Chorwatów za oddzielny naród. Pertraktowanie z nami, jak równy z równymi. Amnestja za wszelkie przestępstwa polityczne. Przywrócenie dawnej konstytucji i partji politycznych. Przeprowadzenie nowych, legalnych, uczciwych wyborów. Wolność prasy. Aby współpracować w jednym państwie z Serbami, muszą mieć Chorwaci tę siłę, jaką mają oni: muszą posiadać własne wojsko. Dziś konstytucje nic nie znaczą. Można je znieść jednym dekretem, Trzeba mieć gwarancje w sile zbrojnej. Chorwaci nie chcą wojować z Serbami, mogą żyć z nimi w jednym państwie, ale jako Chorwaci, a nie jako „Jugosłowianie”.

Prorządowiec zaś chorwacki tak sprecyzował swoje postulaty:

– Chorwaci są narodem chłopskim. Chłop chce, aby mu było dobrze, obojętne dla niego, jak wyglądają sprawy polityczne. Chłopi chorwaccy nie chcą autonomji; wystarcza im samorząd, jaki daje konstytucja całemu państwu. Własne wojsko?! Tego może żądać tylko wroga państwu emigracja. Mieć własne wojsko, to znaczy żyć pod nieustanną grozą wojny bratobójczej. Chorwaci, którym takie idee w głowie świtają, są zdrajcami, słusznie wsadza się ich do więzień. To też siedzi paręset osób, choć czasem zdarza się, że ofiarami padają ludzie przypadkowi, których rozagituje jakiś niezadowolony dawny urzędnik, czy oficer austriacki.

– Czy różnice, dzielące dziś Serbów i Chorwatów nie zatrą się same w dalszem współżyciu?

– Nigdy! Byliśmy, jesteśmy i będziemy Chorwatami, zachowamy odrębność, jak Polacy, którzy przetrwali stuletnią niewolę, – deklarował jeden.

– Ależ naturalnie. Wymiana żołnierzy, urzędników, wzajemne małżeństwa, wkrótce zatrą różnice między poszczególnymi dzielnicami. Lata i nowe wychowanie zrobią swoje. Przyszła Jugosławja będzie wolna od tych swarów wewnętrznych – zapewniał drugi.

– Mówi się dziś wiele w Zagrzebiu o tem, jak to było dawniej – za Habsburgów. Czy nie tęskni się podświadomie za ancien regime'm?

– Habsburgowie są katolikami. To jednako im lud. Moglibyśmy jednak współżyć z domem Karadźordżewiczów, choć prawosławnych, byleby tylko uwzględniali nasze potrzeby religijne, narodowe i kulturalne – oświadczał jeden.

– Niema jednego Chorwata, któryby tęsknił za dawną monarchją austro-węgierską. – mówił drugi.

– Jakiej organizacji państwa jugosłowiańskiego życzą sobie Chorwaci?

– Powinno być tak, jak było za panowania węgierskiego – odpowiedział separatysta. –

Wtedy Budapeszt był dla Węgrów stolicą, Zagrzeb dla Chorwatów; niechby Belgrad pozostał dla Serbów, a Zagrzeb dla Chorwatów. Moglibyśmy mieć, jak dawniej, wspólny rząd, zachowując tylko niektóre oddzielne teki dla poszczególnych krajów.

– Organizacja państwa jugosłowiańskiego powinna być zachowana w dzisiejszej formie, – odrzekł drugi. – Program separatystów jest niemożliwy do realizacji, niweczy bowiem królewski plan budowy wspólnej Jugosławiji.

Czy zatem można przypuszczać, że rząd pójdzie kiedyś na ugodę z separatystami?

– Pójdzie, gdy będzie zapóźno, – deklarował jeden. Tak bywa zawsze. Gdyby Habsburgowie przypuszczali, że monarchja ich się rozpadnie, poszliby wcześniej na rękę narodom, które żyły pod ich berłem. Serbowie nie rozumieją dążeń i nie znają psychiki Chorwatów. Chorwaci nie mają bronii, aby mogli walczyć o swe prawa. Ale może jakie wypadki międzynarodowe pozwolą odzyskać

Chorwacji prawo do wolnego życia. Państwa powstają i znikają w czasie wojen.

– Nie wierzę w siły separatystów – mówił lojalny obywatel. – Żaden ruch przeciw Belgradowi nie będzie miał powodzenia.

Tak się wypowiadali przedstawiciele dwóch obozów chorwackich. Który z nich miał rację? Czy ten, który wszystko aprobeuje i nic nie chce zmienić w sytuacji wytworzonej przez zamach stanu króla Aleksandra dnia 6 stycznia 1929 roku? Czy ten, co wszystko odrzuca i nie waha się nawet rozbić całości państwa, zrodzonego z krwi i ofiar wojny powszechnej, a także z wielowiekowej męki ludów słowiańskich na Bałkanie?

Zdaje się, że rozwój wypadków pójdzie drogą pośrednią. Pan premier Jewticz, który z całą szczerością i z tak bardzo charakteryzującym go realizmem godzinę rozmawiał ze mną o dzisiejszych troskach swego państwa, będzie się starał znaleźć formę współpracy ze wszystkimi gałęziami Jugosławji.

Powiedział mi on wtedy:

– Okropny zamach marsylski tylko wzmoc-

nił jedność wszystkich składników, które tworzą Jugosławię.

I to jest prawda. Udział partyj opozycyjnych serbskich i najliczniejszego obozu chorwackiego dr. Maczka w obecnych wyborach do Skupstiny – z jednej strony, a tolerowanie przez rząd jawnej akcji tych partyj, które przecież zostały rozwiązane, zakazane i prześladowane w swoim czasie, – świadczy, że nieprzejednane dotychczasowe stanowiska obu stron znikły i, że zarysowują się wyraźne perspektywy kompromisu.

To też można za p. Jewticzem powtórzyć: śmierć króla zjednoczyła Jugosławię. Rzeczą jego następców będzie uczynienie tej jedności trwałą.

VIII

JESZCZE SPRAWA CHORWACKA

Krótkie *P. S.* – *nie korespondencja*, lecz *post scriptum*. A więc: tak pisałem na początku roku 1935. Minęło kilka miesięcy. P. Jewticz upadł. Opozycja chorwacka obaliła go. Zbyt dobrze poszły p. Jewticzowi wybory, zbyt wielką większość zdobyła jego partja. Rząd stracił sprawdzian głosu opinji, usiłując zlikwidować opozycję. Regent począł szukać bezpośredniego kontaktu z krajem. Niekoronowany król chorwacki, dr. Maczek, nie doszedł jednak do całkowitego porozumienia z ks. Pawłem. Mógł jednak odetchnąć. Zastąpienie p. Jewticza przez p. Stojadinowicza, zapowiedź nowych wyborów, zapowiedź amnestji dla emigracji maluje przyszłość w łagodniejszych dla Chorwacji

barwach. Nieprzejednani Chorwaci twierdzą, że to jeszcze nie wszystko; ale tylko nieprzejednani. Z punktu widzenia sytuacji wewnętrznej ostatnia zmiana rządu belgradzkiego wniosła do życia politycznego Jugosławji to, co w języku politycznym nazywa się odprężeniem. I to już jest dużo. To nie jest wszystko, bowiem nie cofną się Chorwaci – mówię o ich skrajnem, nieprzejednanem skrzydle – od dalszych walk o swoje prawa.

Człowiek ulicy zagrzebskiej, prosty szofer, mówił mi o tem, jak to rozumie.

– Palce ręki nie mogą być skracane. Jugosławja, to jak trzy ostatnie palce ręki: środkowy – to Serbja, serdeczny – Chorwacja, mały – to Słowenja. Niech Belgrad nie skraca serdecznego palca do połowy i niech nie obcina małego. Niech zachowa długość tych palców, a będzie ręka Jugosławji silna.

*

*

*

Z punktu widzenia polityki zagranicznej

upadek p. Jewticza znaczy bardzo dużo, mimo, że p. Stojadinowicz oświadczył, że:

„Na szczęście zewnętrzna polityka państwa nie jest uzależniona od zmian wewnętrzno-politycznych”.

Ta polityka opiera się, zdaniem p. Jewticza, na „wielkich trwałych dyrektywach i żadne uboczne okoliczności nie mogą wpłynąć na zmianę tych dyrektyw”.

P. Milan Stojadinowicz oświadczył, iż będzie kontynuował „ściłą współpracę z przyjaciółmi i sojusznikami z Małej Ententy i z Paktu Bałkańskiego, oraz przyjaźń z wielkim zachodnim sprzymierzeńcem, z Francją.”

To są słowa, słowa, jakich zwykli używać ministrowie spraw zagranicznych w swoich oficjalnych deklaracjach, exposés gabinetowych, wywiadach dziennikarskich, mowach i t. d. Ale za temi słowami kryje się niejedno.

Kiedy na początku bieżącego roku odbywałem podróż po Bałkanie, p. Jewticz wrócił właśnie z Genewy, gdzie rozmawiał z p.

Litwinowem, a p. Tevik Rustu Aras odwiedził Belgrad. P. Litwinow mówił w tym czasie o korzystnym układzie handlowym, obiecywał otwarcie rynku sowieckiego dla serbskiego importu i zobowiązał się wpłynąć na Komintern, – to znaczy p. komisarz, t. j. minister spraw zagranicznych, Litwinow na towarzysza Litwinowa – by propaganda komunistyczna w Jugosławiji ustała.

Jugosławja jest jednym z nielicznych państw na południo-wschodzie Europy, które obroniły się przed wpływami sowieckimi. Nienadarmo zmarły tragicznie król Aleksander był wychowany na dworze petersburskim, nienadarmo ks. Paweł, wychowany w Londynie – w manjerach Anglosas – cieszy się opinią rosyjskiego księcia. Doniedawna Belgrad mógł uchodzić za jedyne w Europie państwo, w którym był akredytowany jeszcze poseł carski. Dziś pan ten reprezentuje komitet nansenowski. Był chory, gdy bawiłem w Belgradzie, i dlatego uniknął mojej wizyty. Miałem zresztą obraz jego działalności.

Przed kilkoma laty odwiedziłem w Bukareszcie ostatniego posła carskiego, p. Koziell Poklewskiego, z pochodzenia Polaka i mogłem się przekonać wówczas, że dla tego, ongiś wielkiego dyplomaty i magnata rosyjskiego, rewolucja rosyjska nie miała znaczenia „formalnego”. „Car go mianował i carowi tylko mógł oddać swe listy uwierzytelniające.” Musiał wszakże oddać pałacyk, który zajmował, bowiem Rumunja nawiązała stosunki z Sowietami i w przyjaźni swej z Sowietami poszła bardzo daleko.

Nie spieszo jest z takimi afektami Jugosławji.

Na początku roku 1935 rozmowy, prowadzone między p. Jewticzem i p. Litwinowem pod auspicjami p. Titulescu i p. Tevik Rustu Aras, stały pod znakiem nawiązania stosunków dyplomatycznych między Jugosławją i Sowietami. Turcja i Rumunja miały zbliżyć Jugosławję z Z. S. R. R. Ale wszystko to spełzło na niczem. I chociaż ks. Paweł cieszy się opinią rosyjskiego księcia –

rosyjskiego w dawnem tego słowa znaczeniu, p. Jewticz obiecywał p. Titulescu jakoś sobie z tem poradzić.

Praga, Bukareszt i Ankara czekały z niecierpliwością wyników tych zabiegów, ale nadaremnie. P. Jewticz upadł. Upadł w przededniu zjazdu Małej Ententy, któremu miał przewodniczyć w Belgradzie. Generał Żiwkowicz, szef jugosłowiańskiej armji i minister wojny, kazał mu ustąpić właśnie tego dnia, kiedy do Belgradu mieli przybyć pp. Benesz, Titulescu i Tevik Rustu Aras.

Może się mylę, ale wydaje mi się, że p. Bogoljuba Jewticza *jako ministra spraw zagranicznych*, nie zaś jako premjera – obalili p. Mikołaj Titulescu i p. Edward Benesz. Nie dr. Maczek, ani opozycja chorwacka, ale właśnie ostatni inspiratorzy jego pilityki zagranicznej.

Niebawem zbierze się znów Mała Ententa. Będzie jej przewodniczył, zamiast p. Jewticza – p. Stojadinowicz. Może do tego czasu Belgrad uzna Sowiety, może nawiąże z nimi stosunki dyplomatyczne, ale nie pójdzie wśląd Bukaresztu, t. zn. nie posunie się

w stosunkach z Sowietami dalej, niż interes Jugosławji tego wymagać będzie.

Jugosławja ma swą pozycję na Bałkanie i musi jej bronić. Pozycja ta będzie z dniem każdym silniejsza, jeśli Włochy w dalszym ciągu będą myślały o Abisynji, nie o Bałkanie.

Jugosławji trzeba samodzielnej polityki zagranicznej, jej własnymi interesami podyktowanej. I trzeba jej mądrej, przezornej polityki wewnętrznej, aby „wszystkie palce jej dłoni mogły mocno trzymać Bałkan za łeb”.

Dziś dłoń ta wyciągnięta jest ku Bułgarji.

IX

W BULGARJI

Sofja.

W oknie wagonu sypialnego Beograd-Sofja stało dwóch panów, odpowiadając uprzejmie na ukłony zgrupowanej na peronie publiczności. Gdy pociąg ruszył, pozostająca na peronie grupka znieruchomiała z uchylonymi kapeluszami, dwaj zaś panowie zaczęli gawędzić. Pierwszy, średniego wzrostu, z bródką, miał szalik jedwabny, zamiast krawata; drugi – wyższy, barczysty, starannie ogolony, wypytywał go o szczegóły niedawno przebytej choroby. Pan z bródką uległ zakażeniu z powodu wrzodu na szyi. Barczysty pan, o wygolonej twarzy, okazywał mu z tego powodu dużo serca. Po północy obydwaj panowie udali się do swych przedziałów. Jeden

i drugi zajmował tak zwany „single”, t. j. przedział podwójny, zarezerwowany dla jednej tylko osoby.

Nad ranem śpi się najlepiej. Granicę jugosłowiańsko-bułgarską przejechałem drzeмиąc, co pozwoliło mi zauważyć, że w stosunku do posiadaczy paszportów zagranicznych, bułgarskie władze pograniczne odnoszą się bez szczególnej „troskliwości”. Gdy zaś po przejechaniu granicy wyszedłem na korytarz wagonu, zastałem obydwu naszych pasażerów, i tego z bródką i tego bez zarostu, gawędzących serdecznie. Pociąg sunął wzdłuż pasma gór, tonących w śnieżnej szacie. Za nami były już góry, które traktat w Neuilly, ze względów strategicznych, odebrał Bułgarom na rzecz Jugosławji.

Poszliśmy na śniadanie. Moi dwaj towarzysze podróży usiedli przy oknie wozu restauracyjnego, błędząc oczyma po śnieżnobiałem pustkowiu.

Było południe, gdy, rozgrzebując śnieg, wtoczył się nasz pociąg na dworzec sofijski.

Oczekujący mnie na dworcu dawny i do-

bry znajomy, poseł polski, p. minister Adam Tarnowski, wyciągnął ręce do wysiadającego z pociągu pana z bródką. Powitanie było serdeczne.

– To jest minister Kazasow – objaśnił mnie potem p. minister Tarnowski.

Minister Kazasow jest posłem bułgarskim w Belgradzie i jednym z najwybitniejszych orędowników zbliżenia bułgarsko-jugosłowiańskiego.

Jego towarzysz podróży, którego oczekiwała przed dworcem limuzyna z literami „C. D.” (corps diplomatique) jest posłem jugosłowiańskim w Bułgarji. Nazwisko jego brzmi Cincar-Markowicz.

Obydwaj panowie, jak się później dowiedziałem, przybyli do Sofji w związku z rokowaniami bułgarsko-jugosłowiańskimi w sprawie dalszego uregulowania wzajemnych stosunków.



Dzieło zbliżenia jugosłowiańsko-bułgarskiego, rozpoczęte przez poprzednie rządy oby-

dwu krajów jeszcze za życia tragicznie zmarłego króla Aleksandra, ma być kontynuowane przez obecne rządy Jugosławji i Bułgarji.

W Belgradzie powiedział mi to p. Jewticz. W Sofji – p. Batołow.

Siedzieliśmy w wielkim gabinecie bułgarskiego ministra spraw zagranicznych. Był nim wówczas p. Konstantin Batołow, ambasador Bułgarji w Paryżu, persona grata swego kraju. Zlekka pochylony, opierając o blat swego biurka splecione dłonie, p. Konstantin Batołow odpowiadał mi pośpiesznie, jakby pragnąc najprędzej rozproszyć moje wątpliwości.

Pierwsze pytanie, jakie zadałem temu czołowemu reprezentatowi bułgarskiej polityki zagranicznej tyczyło się jej linji zasadniczych.

– Polityka nasza jest polityką pokoju, polityką dobrych stosunków ze wszystkimi krajami, a w szczególności z naszymi sąsiadami. Jest to polityka, która dąży do zagwarantowania pokoju na Bałkanach, a co zatem idzie i w Europie, – o tyle, o ile to jest zależne od Bułgarji.

To stwierdzenie ciągłości polityki zagranicznej przez p. Batołowa jest dość ważne: *zmiany rządów w Bułgarji nie wpływają na jej politykę zagraniczną.*

– Czy Bułgarja jest zadowolona ze zbliżenia z Jugosławją i czy to dzieło zbliżenia będzie w przyszłości kontynuowane? – zapytałem.

– Oczywiście, jesteśmy zadowoleni. Dzieło zbliżenia będziemy i nadal kontynuować. To, co zrobiono dotychczas, to tylko początek. Mamy nadzieję i jesteśmy pewni, że rozpoczęte dzieło zbliżenia da należyte rezultaty. Jak Panu wiadomo, wkrótce mają się zebrać delegaci obydwu państw, aby rozstrzygnąć szereg konkretnych kwestji, wymienionych w komunikacie, wydanym w swoim czasie podczas pobytu króla Aleksandra w Sofji.

Zadałem p. Batołowowi pytanie, dotyczące najdelikatniejszej strony zbliżenia jugosłowiańsko-bułgarskiego:

– A sprawa macedońska?...

Wydało mi się, iż rozmówca mój nie był zadowolony z tego pytania. Nastąpiła chwi-

la ciszy, p. Batołow uniósł rękę, gładząc swą spiczastą, siwą bródkę.

– O ile zbliżenie bułgarsko-jugosłowiańskie wyda oczekiwane rezultaty – odparł – wszystkie nieporozumienia staną się bezprzedmiotowe.

Ta opinia p. Batołowa wydała mi się optymistyczną. Sprawa macedońska, jak mogłem się przekonać z rozmów z samymi Macedończykami, przebywającymi zarówno w Sofji, jak i w swych stronach rodzinnych, jest niesłychanie skomplikowana i nie wydaje mi się bynajmniej, by mogła tak prędko stać się bezprzedmiotową. Będę jeszcze pisał o niej obszernie. Macedończycy, znajdujący się w Jugosławji, Grecji, i Bułgarji, wiedzą, że Bułgarja, którą zresztą uważają za swą ojczyznę, nie pomoże im dzisiaj i szukają własnych sposobów, często, zbyt często drastycznych, obrony swych praw.

– W Jugosławji istnieje mniejszość macedońska, której nie wolno ani mówić, ani czytać po bułgarsku – rzekłem. Co mi p. minister może powiedzieć o zagwarantowaniu

praw mniejszości macedońskiej w Jugosławji?

P. Batołow odparł:

– My pracujemy nad kwestją zbliżenia obydwu krajów na tle kulturalnem, politycznem i gospodarczem. Cały szereg spraw nie jest jeszcze załatwiony ostatecznie. Wszystkie mogą być jednak załatwione wspólnie przez Jugosławję i Bułgarję.

Pozostaje wszakże mniejszość macedońska w Grecji. Traktat bukareszteński z r. 1913 odebrał Macedonję Turcji, tę Macedonję, o której wolność walczyli w 1912 r. Serbowie i Bułgarzy, – podzielił ją między Serbję, Grecję i Bułgarję. Nie mogło się to stać powodem radości Bułgarów, ale mniej jeszcze powodu do zadowolenia mają oni teraz, po traktacie w Neuilly, który zostawiając im klin macedoński, odebrał na północy góry, odsłaniając Bułgarję ze względów strategicznych przed Jugosławją, a na południu Trację, bogatą Trację, którą posiadają Grecy. Może w głębi duszy postawili Bułgarzy krzyż nad Macedonją, przyznaną Jugosławji,

może w głębi duszy marzą o tych górach północnych, myśląc, że im je „po dobroci” oddadzą Jugosłowianie, gdy stosunki między obydwoma krajami staną się lepsze, ale nie będą o tem mówić. I jeśli myślą teraz, po zbliżeniu z Jugosławją o czemś, to o tej bogatej Tracji, która dałaby im dostęp do morza Egejskiego. Dalekowidze polityczni sądzą, że zbliżenie bułgarsko-jugosławiańskie przyniesie w przyszłości unję Słowian bałkańskich, którzy zwrócą się przeciw Grekom w imię „pokojuwej” rewizji granic. Sprawa macedońska w Grecji mogłaby posłużyć za jeden z elementów zbliżenia między Jugosławją i Bułgarją.

Zapytałem właśnie mego rozmówcę o sprawę mniejszości macedońskiej w Grecji. Macedończykom greckim, – należy to zaznaczyć, – powodzi się nielepiej, niż Macedończykom jugosławiańskim.

– Macedończycy, mieszkający w Grecji, mają zagwarantowane pewne prawa na mocy traktatów – odparł p. Batołow. – Myślę tu o traktatach mniejszościowych. Uważam –

dodał – że Macedończycy greccy otrzymają to, co im się należy.

Tyle p. Batołow. Rzecz tylko w tem, kiedy i w jakich warunkach otrzymają Macedończycy greccy to, co im się należy. Czy w bliskiej, czy w dalekiej przyszłości; w dalekiej przyszłości, gdy, jak to dalekowidze polityczni przewidują, zjednoczy się Jugosławja z Bułgarią, by spaść na Greków i zlewając w jedną całość Macedonję, dziś między trzy państwa podzieloną, utworzy to „województwo”, jako niepodległe, ale i zjednoczone z sobą państwem. Kiedy, po kilkodniowym pobycie w Sofji, miałem okazję poznania p. min. Kazasowa w domu jednego z dyplomatów sofijskich, byłem świadkiem sceny, gdy taki właśnie dalekowidz polityczny snuł te myśli wobec bułgarskiego dyplomaty. Te myśli o dalekiej przyszłości, – o zjednoczeniu Jugosławji i Bułgarii, doniedawna skłóconych, od niedawna pogodzonych dwóch sióstr słowiańskich, dwóch sióstr bałkańskich, są, mimo wszystko, dostatecznie poważne, by niepokoić niesło-

wiański Bałkan niesłowiański Wschód. Może tu właśnie tkwią obawy nietylko Greków o pokój na Bałkanie, lecz i Turków o jugosłowiańsko-bułgarskie zbliżenie. Gdy bowiem Jugosłowianie i Bułgarzy uporają się z Grekami, może przyjść kolej na Turków, którzy już tylko resztkami ziem tkwią w Europie. I może tu właśnie szukać należy przyczyny podniesienia głowy przez mniejszość turecką w Bułgarji. (10⁰/0 ludności stanowi mniejszość turecką w Bułgarji). Ludność turecka domaga się w Bułgarji praw mniejszościowych coraz to gwałtowniej.

— Jaki jest stosunek Bułgarji do mniejszości tureckiej? — zapytałem p. Batołowa.

— Nie znam kraju — nie bez irytacji odparł bułgarski minister spraw zagranicznych — w którym ludność pochodzenia tureckiego korzystałaby z takich praw, jak u nas. I dodał:

— Turcy mają tu szkoły, wolność religijną oraz prawa polityczne. Aby dać prawa Turkom, zmieniliśmy nawet nasze ustawodawstwo odnośnie dziedziczenia.

P. Batołow jest, jak widać, spokojny o przyszłość. Ponieważ jednak Bałkan od lat jest źródłem ustawicznego niepokoju, postawiłem bułgarskiemu ministrowi spraw zagranicznych pytanie:

– Czy nie przewiduje pan w przyszłości nowej wojny na Bałkanie?

– Wojna? – powtórzył jak echo. I odparł:– Wojna na Bałkanie nie wydaje mi się możliwa.

– Czy sądzi pan, panie ministrze, że w drodze pokojowej dadzą się załatwić wszystkie nieporozumienia, istniejące między narodami bałkańskimi?

– Drogą pokojową można załatwić wszystkie nieporozumienia, istniejące między narodami bałkańskimi. Nie widzę ani powodu do wojny, ani groźby jej.

Zapytałem o stosunek Bułgarii do Małej Ententy:

– Nasze stosunki z państwami Małej Ententy są dobre. Jesteśmy z tego zadowoleni. Lecz mamy stosunki – podkreślił p. Batołow

– tylko z poszczególnymi państwami, nie z Małą Ententą, jako całością.

Ponieważ Mała Ententa patronowała t. zw. Entencie bałkańskiej, której roczny jubileusz obchodzi właśnie p. Titulescu z p. Maximosem, więc zapytałem p. Batolowa o obecny stosunek Bułgarji do paktu bałkańskiego, który nosi tę nazwę, mimo iż Sofja nie bierze w nim udziału.

– Pyta pan o pakt bałkański? Ma pan na myśli pakt ateński?... – mówił mój rozmówca. My do niego nie należymy i nie będziemy do niego należeć, póki jest takim, jakim jest. Pod tym względem stanowisko Bułgarji pozostaje niezmiennie. Zaproponowaliśmy naszym sąsiadom paktów bilateralne, których dotąd z nimi nie mamy. Jeśli nasi sąsiedzi chcą od nas deklaracji o nieagresji i, jeśli chcą nam ją zapewnić – jesteśmy gotowi. Jeśli zaś chodzi o blok bałkański to przed przystąpieniem do jego realizacji należy rozstrzygnąć wszystkie niezłatwione kwestje między poszczególnymi państwami bałkańskimi.

— — — — —

Ta odpowiedź p. Batolowa jest niezmiernie ważna dla zrozumienia polityki zagranicznej Bułgarji.

Żaden rząd bułgarski nie jest w stanie wyrzec się możliwości rewizji klauzul terytorjalnych, przewidzianej paktem Ligi Narodów. I dlatego Bułgarzy powiadają, gdy się od nich żąda udziału w kombinacjach międzynarodowych, sankcjonujących ich obecne granice: „Nie żądajcie od nas gwarancji, które nie są zgodne z naszym honorem”.

I dodają:

„Pakt bałkański stabilizuje obecne granice. Gdybyśmy doń przystąpili, usankcjonowalibyśmy je. Nie wysuwamy d z i ś rewindykacji terytorjalnych. Chcemy tylko, by nasi sąsiedzi szanowali naszych rodaków. Marzymy o naszych ziemiach na Północy i bogatej Tracji. Ale nie chcemy na nikogo napadać. I dlatego możemy zawrzeć z każdym sąsiadem pakt o nieagresji. Tylko nas nie zmuszajcie do..... Locarna bałkańskiego”.

Ten jest powód, dla którego, uchylając się od paktu bałkańskiego, przystąpi Bułgarja do

każdej szerszej kombinacji międzynarodowej.

– Jakie jest zdanie pana ministra o porozumieniu rzymskim? – zapytałem p. Batołowa.

– Właśnie badam je – odparł. Bezwątpienia, jest to pożyteczny krok naprzód. Jeżeli mocarstwa porozumiewają się między sobą nie widzę powodu, dla którego Bułgarja miałaby się odnieść negatywnie do porozumienia rzymskiego.

Przeszedłem do pytań końcowych:

Bułgarja, ma, jak wiadomo, międzynarodowe zobowiązania finansowe: pożyczki przedwojenne i dwie duże pożyczki powojenne, zaciągnięte pod auspicjami Ligi Narodów. Nie mogąc wywiązać się ze swych zobowiązań – wynoszą one ogółem 19.277.147.199 lewów, (trudności transferowe), Bułgarja zażądała moratorium, którego konieczności nie uznał komitet finansowy Ligi Narodów.

Zapytałem tedy p. Batołowa o stosunek Bułgarów do Ligi po tem nieporozumieniu co do sytuacji finansowej Bułgarji.

– Stosunek nasz do Ligi Narodów nie ulega zmianie – odparł mój rozmówca. Żądaliśmy ankiety w sprawach naszych możliwości płatniczych. Nie zgadzamy się jednak z raportem komisji, delegowanej przez komitet finansowy Ligi. Kwestja nie jest rozstrzygnięta ostatecznie. Nie wpływa to jednak na nasz stosunek do Ligi Narodów .

Na zakończenie zapytałem p. Batołowa o Sowiety. Bułgarja, jak wiadomo, uznała niedawno Sowiety, nawiązując z nimi stosunki dyplomatyczne. P. Raskolnikoff, poseł sowiecki w Sofji, rozpoczął działalność na terenie bułgarskim z dość dużą dozą przedsiębiorczości: nie z powodu eksmitowania z dotychczasowej siedziby poselstwa rosyjskiego reprezentanta dawnej Rosji, ale z powodu swej aktywności i to na wszystkich polach.

– Wznowiliśmy stosunki dyplomatyczne z Rosją, – mówił mi p. Batołow – gdyż uważamy, że polityka obydwu państw dąży do zagwarantowania pokoju. Stosunki zostały wznowione na zasadzie niewtrącania się do spraw wewnętrznych każdego z państw i nie

mamy powodu do niezadowolenia pod tym
względem – dodał na zakończenie.

Są politycy w Bułgarji, którzy oczekują re-
zultatów tego zbliżenia na polu ekonomicz-
nem.

Są ekonomiści, którzy twierdzą, iż weksle
długoterminowe nie uzdrawiają życia gospo-
darczego.

Ale jedni i drudzy mówili mi:

„Możemy zaryzykować. Bułgarja coprawda
stanowi podatny grunt dla propagandy ko-
munistycznej, i Rosja szuka w Bułgarji swych
dawnych wpływów na Bałkanach. Ale żadna
rewolucja nie jest możliwa bez udziału armji.
Armja zaś jest patryjotyczna”.

I Bułgarja liczy na swą armję.

X

TANIE JEST ŻYCIE LUDZKIE NA BAŁKANACH

Sofja - Petrycz.

Reprezentanci opinii bułgarskiej mówili mi, że w Bułgarji możliwe są tylko rządy silnej ręki.

Dlaczego? Aby Bułgarzy nie mordowali się nawzajem.

Nie trzeba być zwolennikiem faszystów i reżimów wojskowych, dyktatur i demokracji, by tę prawdę wyznawać. Jak Bułgarja Bułgarją, zemsta polityczna, a nawet zabójstwo polityczne, były jej niepisaniem prawem, Dopiero reżim obecny postawił sobie za zadanie znieść tę metodę walk politycznych.

– Od roku nie było w Sofji ani jednego po-

litycznego zabójstwa – mówił mi p. Żorż Kasabow.

Pan Żorż Kasabow nie jest politykiem, ale p. Żorż Kasabow wie o konsekwencjach życia politycznego w Bułgarji najwięcej. Pan Żorż Kasabow jest *zarządcą cmentarza* w Sofji i przez wiele lat obserwował, że konsekwencją życia politycznego w Bułgarji bywała do roku 1934 śmierć. Niestety, kancelarja cmentarza sofijskiego nie prowadziła statystyki, któraby mogła nam powiedzieć, jaki procent wśród zmarłych stanowiły ofiary „zabójstwa politycznego”. Pan Żorż Kasabow ocenia je w przybliżeniu na 5⁰/o.

Stolica Bułgarji, Sofja, liczy ok. 300.000 mieszkańców. W roku ubiegłym pogrzebano na wspólnym cmentarzu wszystkich wyznań, którego dyrektorem jest p. Żorż Kasabow, 3.234 nieboszczyków. *Mniej niż w latach ubiegłych!* Sofja jest miastem, w którem statystyka zgonów wykazuje spadek. Stałem z p. Kasabowem w kancelarji jego urzędu, oglądając rozwieszone na ścianach i przedstawiane mi smutne wykazy zgonów. I wybra-

łem miesiąc marzec ostatniego siedmiolecia dla pokazania prawdy o życiu Bułgarji. W marcu 1928 r. zmarło w Sofji 337 osób, *w marcu 1929 r. — 416*, w marcu 1930 r. — 314 osób, w marcu 1931 r. — 304, w marcu 1932 r. — 312, w marcu 1933 r. — 332, w marcu 1934 r. — 315. Do 1931 roku zabijali się pomiędzy sobą członkowie wszystkich partji politycznych oraz Macedończycy. W 1931 roku nastąpił w Bułgarji rozejm polityczny i powstał rząd koalicyjny, który trwał trzy lata. Mimo to, kronika zanotowała kilka zabójstw politycznych wśród Bułgarów. W każdym razie zabójstwa między Macedończykami trwały w dalszym ciągu. Statystyka zgonów spadła w Sofji. *W marcu 1929 r. pogrzebano 416 osób, więcej niż w czasie epidemji tyfusu brzuszego*, który panował w Sofji w listopadzie w roku 1932 i pochłoniął wraz z innemi zgonami 396 ofiar. Ale w marcu 1934 roku pogrzebano już tylko 315 oób.

Przyczem należy wziąć pod uwagę, że obecnie kronika wypadków nie notuje tajemniczych zniknięć i, jeśli ktoś w Sofji umiera,

to jest grzebany na cmentarzu. O osławionym premierze chłopskim w Bułgarji, Stambolijskim, wiadomo przecież, że został zabity przez swych przeciwników politycznych i spowodu braku zwłok nie wyprowadzono mu nawet pogrzebu.

Pan Żorż Kasabow powiada, że zabójstw politycznych od roku już nie zanotowano w Sofji, ani wśród Bułgarów, ani wśród Macedończyków.

Wiemy, jak wyglądała przeszłość. Wyszliśmy z p. Kasabowem z jego smutnego lokalu na cmentarz. I przeszliśmy cienistą aleją wzdłuż grobów. Było cicho, i pusto, tylko śnieg skrzypiał pod nogami. Mówiły grobowce. Pan Kasabow wskazywał je ręką: – „b. minister Petkow” – zabity na ulicy, regent Bułgarji i premier Stambolow” – pokrajany w kawałki, „minister Genadjew” – zastrzelony na ulicy – głosiły napisy na grobowcach prostych, lub monumentalnych. Pan Kasabow wskazał mi wielki krzyż, a obok niego kilka skromnych grobów. To grobowce Macedończyków z grupy rewolucjonistów –

Karwanowa i Michajłowa. W pobliżu wy-
czytałem nazwisko „Giurkow”, zabity w ro-
ku 1931. Był pełnomocnikiem dzisiejszego
wodza rewolucjonistów macedońskich, I-
wana Michajłowa. Zabili go „przeciwnicy
terorystów”, ci Macedończycy, którzy pra-
gnęli dla Macedonji tylko pełnych praw, nie
zaś niepodległości, jak rewolucjoniści. Jedni
i drudzy. umiarkowani i agresywni, ministro-
wie bułgarscy, którzy nie chcieli Macedoń-
czykom dać niepodległości i Macedończycy,
którzy o nią walczyli z ministrami, Macedoń-
czycy, którzy walczyli pomiędzy sobą, wresz-
cie Bułgarzy, którzy walczyli między sobą,
leżeli tu, obok siebie, daleko od miasta, od
zgiełku i rozgwaru życia, od wielkich i małych
trosk, zdala od walk codziennych, na tem
pustkowiu cmentarnem, spoczywali wszyscy
w najbliższem sąsiedztwie, pogodzeni w obli-
czu majestatu śmierci.



Czy rząd obecny pogodzi Bułgarów i Ma-

cedończyków pomiędzy sobą w obliczu majestatu życia?

Premjer i ministrowie bułgarscy powiedzieli mi, że mają w tym względzie jaknajlepsze chęci i jaknajlepsze nadzieje. „Gdyby zaś ktoś spróbował nanowo teroru, każda próba będzie zmiażdżona”. Takie były słowa szefa rządu bułgarskiego. Ale, jeżeli obecny rząd odejdzie – przypuśćmy to całkiem teoretycznie – jeśli reżim obecny zastąpią dawne rządy starych polityków bułgarskich – co wówczas? Czy rządy takie będą mogły udzielić gwarancji, że nie powtórzą się w Bułgarji wypadki zabójstw politycznych?

To pytanie zadałem wszystkim możliwym pretendentom do władzy w Bułgarji, nietylko z obozu wojskowego, ale przede wszystkim dwum dawnym premjerom Bułgarji: nacjonalście Cankowowi i demokracie Muszanowowi, a potem leaderowi stronnictwa chłopskiego, które za czasów Stambolijskiego rządziło Bułgarją, – b. ministrowi Giczewowi.

Były premjer Muszanow oświadczył mi, że jego trzyletnie rządy położyły już kres za-

bójstwom politycznym. Tych, które się zdarzyły, p. Muszanow nie uważa za polityczne; ale p. Muszanow nie liczy „zabójstw macedońskich”.

Były minister Giczew powiedział mi, że „rząd chłopski mógłby tylko zagwarantować, że sam nie będzie zabijał, ale nie może gwarantować, że nie będą tego robić inni.”

Tylko b. premier Cankow odparł, że mógłby udzielić tej gwarancji, ale z pewnem zastrzeżeniem. „Wróży mu to najlepszą przyszłość” – powiedział mi o tem oświadczeniu jeden z jego przeciwników politycznych.

Tak mówiono mi w Sofji.

Ale czy Sofja to cała Bułgarja? Co mówi Macedonja?

Jedziemy do Macedonji, w jej głąb.



Z Sofji do Salonik leci zimą raz w tygodniu polski samolot, przebywając 285 klm. w ciągu 1 i pół do 2 godzin. Koleją jedzie się z Sofji do Salonik 30 godzin. Aby dostać się ze

stolicy Bułgarii do salonickiego portu, trzeba wracać do Jugosławji i na pół drogi, między Belgradem, a granicą grecką czekać kilka godzin w Niżu, by wreszcie pojechać dalej. Między Sofją, a Salonikami leży Macedonja. Chciałem lecieć do Salonik, a stamtąd do Aten. Chciałem lecieć i dla ekonomji czasu i z sympatji do znakomitego pilota „Lotu”, p. Pecho, który z podziwu godną brawurą utrzymuje tej ciężkiej zimnej komunikację lotniczą Saloniki-Sofja-Bukareszt i z którym wielokrotnie z największą przyjemnością latałem. Ale musiałem z projektu mego zrezygnować, bowiem samolot polski leci z Sofji do Salonik wprost, ja zaś chciałem po drodze zatrzymać się w Petryczu, głównem mieście bułgarskiej Macedonji, mieście, w którym, jak mi sofijscy ministrowie mówili, urzędował doniedawna niekoronowany „król” Macedonji, jej „wódz” i jej nieoficjalny „premjer” szef VMRO – Iwan Michajłow.

Jak dostać się z Sofji do Salonik przez miasto Petrycz?

Zapytałem o to bułgarskiego ministra ko-

munikacji, p. Nikołaja Zacharjewa i, wskazując na wiszącej w jego gabinecie mapie rzadkość sieci kolejowej, łączącej Bułgarię z jej sąsiadami, zapytałem o powód tego stanu rzeczy.

– Połączenia kolejowe Bułgarii z sąsiadami są tak szczupłe – odparł p. min. Zacharjew – ponieważ w okresie niewoli tureckiej, rząd turecki miał tendencje budowania dróg kolejowych w kierunku równoleżnikowym, a nie południkowym.

Kiedy zaś zapytałem bułgarskiego min. kolei, czemu po wyzwoleniu Bułgarii z niewoli tureckiej nie zmieniono tego stanu rzeczy, odparł: „Budujemy”. I wymienił połączenie kolejowe z Rumunią, które będzie w r. b. zrealizowane. (Jak wiadomo, z Bułgarii do Rumunii jedzie się przez Dunaj; koleją do Ruszczuku, a potem kwadrans łodzią płaskodenną przez Dunaj, gdy zaś zimą Dunaj zamarza przechodzi się z Bułgarii do Rumunii – pieszo). Co do komunikacji w kierunku Grecji, minister oświadczył mi, że w r. 1935 linja kolejowa z Sofji zostanie dopro-

wadzona do Górnej-Dżumaji, a w r. 1936 do Simitli”, miasteczka, leżącego na drodze do Petrycza.

– Do Salonik – wyjaśnił mnie na zakończenie – może pan najlepiej pojechać autem.

I pojechałem do Salonik przez miasto Petrycz autobusem.

*

*

*

Modre było światło poranka, a powietrze suche i mroźne. Sofja budziła się do pracy. Stary, zniszczony autobus, zapelniony do ostatniego miejsca, ruszał w drogę – do Macedonji. Sunęliśmy ulicami Sofji, wśród meczetów i kopuł, które mówiły o wschodnim charakterze tego miasta. Mijaliśmy wsie i miasteczka, dążąc na południe Bałkanu. Autobus rozgrzebywał śnieg, tarzał się w błocie, wdzierał się coraz to wyżej i wyżej, znacząc wśród dzikich bezdroży i urwisk górskich własne szlaki. Ziemia lśniła śniegiem lub nieweszaną wodą, góry tonęły w świetle poranka za niebieską mgiełką, wiatr wiał ze wschodu i zachodu. Luty szeleścił zimą i wiosną. Su-

nęliśmy na południe Bałkanu wśród biednych miasteczek i wsi Macedonji.

Rozmawiałem po zajazdach i oberżach z ludźmi prostymi, ubranymi w obcisle, przykrótkie spodnie z samodziału, obutymi w łapcie, w półkorzuszki na grzbiecie i płaskich czapeczkach, wypytując czy w ich doli zaszły zmiany na lepsze. Opowiadali zgodnie, że „spokojnie jest teraz w Macedonji, że chcą być wolni, że myślą o swych braciach za kordonami – greckim i serbskim, że chcieliby z nimi być razem”.

Czego chce Macedonja?...

Istnieje w Sofji przy ul. Angiel Kanczew nr. 2 „Makedonskiĭ Nationalen Komitet” (Macedoński Komitet Narodowy). Prezesem jego jest p. Mirczew, stary pan o śpiczastej bródce, powołany na to stanowisko przez rząd. Otóż p. Mirczew, z którym rozmawiałem o postulatach Macedonji, jej ruchu narodowym i metodach działania, powiedział mi:

„...Celem ruchu macedońskiego jest wy-

zwolenie Macedonji, środki zaś działania zależne są od warunków”.

Historja tego ruchu, wyłożona mi przez p. Mirczewa jest następująca:

– W okresie niewoli tureckiej utworzono organizację rewolucyjną do walki z jarzmem tureckiem z bronią w rękę. Celem zasadniczym tej organizacji było wywalczenie autonomji dla Macedonji. W r. 1903 wybuchło powstanie macedońskie i sprawa macedońska stała się międzynarodową. Porozumienie rewelskie Króla angielskiego z Carem dawało Macedonji najlepsze nadzieje. Ale rewolucja młodoturecka i nadanie Turcji konstytucji, wstrzymały pomyślny rozwój sprawy macedońskiej. Młodoturcy nie dotrzymali obietnic wobec Macedończyków, a z konstytucji swej starali się uczynić środek otomanizacji Macedonji. Chcieli nawet odebrać ludności prawa zdobyte przedtem. Organizacja rewolucyjna Macedonji przestała działać. Miejsce jej zajęły tak zwane kluby konstytucyjne, które broniły praw ludności. Nie mogąc zotomanizować Macedończyków, Turcy rozpoczęli nową ser-

ję prześladowań. Pozamykano kluby, wymordowano wybitniejszych Macedończyków, ludności odebrano broń. Ale organizacja rewolucyjna odrodziła się, władze zaś tureckie zastosowały najostrejsze środki walki z Macedończykami – masowe rzezie ludności w miasteczkach”.

Cóż się stało dalej?

– Losem Macedończyków zainteresowało się społeczeństwo i rząd bułgarski – ciągnie p. Mirczew – Przygotowano sojusz bałkański i wojnę z Turcją, r. 1912. Ale wojna ta niczego dobrego Macedonji nie przyniosła. Błędy polityki bułgarskiej doprowadziły do podziału Macedonji na trzy części. Niemniej ludność macedońska nie wyrzekła się walki. Prześladowania ze strony Serbów i Greków spowodowały odnowienie organizacji rewolucyjnej. Powstały nowe oddziały partyzanckie, zaczęły się znowu zamachy. Wszystkie prawa, zdobyte przez Macedończyków w okresie niewoli tureckiej, Serbowie i Grecy odebrali. Szkoły i kościoły macedońskie pozamykano; duchownych, nauczycieli i wybitniejszych Ma

cedończyków wypędzono z kraju. Położenie ludności stało się jeszcze gorsze. Ludność jednak nie zaprzestawała walki o swe prawa, ale ich nie otrzymała. Wojna światowa odświeżyła jej nadzieje”.

Jak było w czasie wojny?

– „Podczas wojny światowej pragnęli Macedończycy zwycięstwa dla Bułgarji, wierząc, że przyniesie im to zwycięstwo prawa i autonomję – mówi p. Mirczew i zaznacza:

– „Ale w r. 1919 dawne położenie zostało nietylko usankcjonowane, lecz jeszcze pogorszone. Część Macedonji, przyznana po wojnie bałkańskiej Bułgarji (okręg strumicki) przeszła do Jugosławji. Położenie ludności macedońskiej pogorszyło się również.

P. Mirczew zaznacza:

– Nie myśleliśmy prowadzić walki z bronią w rękę. Ludność macedońska była do niej gotowa, ale przywódcy jej nie chcieli”.

I patrząc na wiszący na ścianie portret nieżyjącego, przez samych Macedończyków zabitego w r. 1924 szefa organizacji rewolucyjnej, Todora Aleksandrowa, tak powiedział:

– „Todor Aleksandrow oświadczył w r. 1924, że walki orężnej nie pragnie, pragnął bowiem dla Macedończyków – jak mówił – praw z jakich korzysta przeciętny obywatel każdego państwa”.

Jak jest obecnie?

– Od pewnego czasu, od momentu zbliżenia jugosłowiańsko-bułgarskiego – odpowiada p. Mirczew – w Macedonji jugosłowiańskiej nastąpiło pewne złagodzenie stosunku wobec ludności. Zmniejszono na przykład kary za mówienie po bułgarsku. Droga, którą powinniśmy iść, zarówno Jugosłowianie, jak i my – ciągnie – to droga dalszego zbliżenia. Daleko jest jeszcze do zupełnego zaufania i porozumienia. Jugosłowianie patrzą z nieufnością na Macedończyków. Z wielką trudnością można dziś jeszcze uzyskać zezwolenie na wjazd do Macedonji jugosłowiańskiej i odwrotnie (przekonać się najlepiej można na miejscu, jak „starannie” granica jugosłowiańsko-bułgarska, dzieląca właśnie Macedonję, jest odrutowana przez Jugosłowian. *Przyp. mój.*).

O postulatach Macedończyków mówi prezes Mirczew w ten sposób:

– 1) Jugosławja powinna otworzyć granice, aby można było wyjeżdżać do Macedonji i z Macedonji tak, by oddzieleni granicą ojcowie z dziećmi, właściciele ziem i dóbr po przeciwległej stronie granicy mogli się komunikować i spraw swych doglądać, 2) Jugosławja powinna dopuścić książkę bułgarską do Macedonji, 3) powinna ogłosić amnestję dla bezpodstawnie uwięzionych Macedończyków, którzy źle są w więzieniach jugosłowiańskich traktowani.

Gdyby Jugosławja uczyniła zadość tym postulatom?..

... Gdyby nadała pełnowartościowe prawa obywatelskie ludności macedońskiej?

... Uzyskałaby przywiązanie Macedończyków i wdzięczność narodu bułgarskiego.

– Czy nie sądzi pan, że porozumienie jugosłowiańsko-bułgarskie, przedewszystkiem w sprawie macedońskiej, jeśli ułoży się w przyszłości, może się zwrócić przeciw Grecji, gdzie

ludności macedońskiej nie wiedzie się lepiej, niż w Jugosławji?

– Nie mielibyśmy potrzeby zwracać się przeciw Grecji, gdyby Grecy dali nam prawa. Jeśli ich nie dadzą, będzie ludność macedońska, oczywiście, o nie w dalszym ciągu walczyć.

(Tu muszę ze swej strony zauważyć, że kiedy po przekroczeniu granicy bułgarsko-greckiej, zapytywałem już w greckiej Macedonii przedstawicieli ludności miejscowej o jej los, odpowiadano mi po wsiach i miasteczkach, że nie wolno Macedończykom w Grecji mówić po bułgarsku, a w Salonikach – mieście skrytych marzeń porozumienia jugosłowiańsko-bułgarskiego – nadaremnie szukałem gazety i książki bułgarskiej; gazeta bułgarska i książka jest zakazana w Grecji. *Przyp. mój.*)

P. Mirczew snuł swe myśli:

– Gdyby nastąpił zwrot w stosunku Jugosławji do Macedończyków – mówił on – to i Grecy nadaliby prawa Macedończykom greckim.

Organizacja, na której czele stoi p. Mirczew, liczy 200 tys. członków. W Bułgarji

mieszka ok. 400 tys. Macedończyków, Jugosławii ok. 700 tys., w Grecji ok. 200 tys. Razem około 1.300 tys.

Obecny reżim bułgarski zlikwidował rewolucyjną organizację macedońską, na czele zaś komitetu narodowego postawił właśnie p. Mirczewa, który jest człowiekiem kompromisu.

P. Mirczew powiedział mi, że „komitet narodowy niema kontaktów z organizacją rewolucyjną, że dawni prezesi komitetu mieli kontakty moralne z rewolucjonistami”.

Poprzednik p. Mirczewa w każdym razie.

Za ten właśnie kontakt został przez rząd zamknięty. Przesiedział w obozie koncentracyjnym 5 miesięcy i niedawno wypuszczono go na wolność.

Rozmawiałem z nim i warto słowa jego porównać ze słowami p. Mirczewa.

Były prezes narodowego komitetu macedońskiego, p. Żorż Kondow, jest z zawodu adwokatem. Średniego wzrostu, wydaje się przez swe wychudzenie niskim i drobnym. Ale jego bystre oczy, szybkie, energiczne ruchy i nieco

już poorana zmarszczkami twarz, mówią od razu, że jest człowiekiem czynu i walki. P. Żorż Kondow studjował prawo w Lozannie i mówi po francusku. Jest Europejczykiem, z którym warto porozmawiać, ale pozostał Macedończykiem, w całym tego słowa znaczeniu.

– Sprawa macedońska dzieli narody bałkańskie – zaczął swym nieco świszczącym głosem. Chcemy zjednoczenia wszystkich Macedończyków w jednym państwie pod protektoratem Ligi Narodów.

– „Macedończycy chcą się uniezależnić od imperjalizmów państw, które zamieszkują, i chcą niepodległości”. Po chwili znowu: „Tylko niepodległa Macedonja, jednocząca Macedończyków bułgarskich, serbskich i greckich, może uczynić pokój na Bałkanie trwałym”.

P. Kondow był aresztowany pod zarzutem utrzymywania kontaktu z VMRO. W rzeczywistości (takie jest jego przypuszczenie) szło o wsadzenie go do obozu koncentracyjnego po to, by w międzyczasie, – wobec jego „nieobecności” – zastąpić go w Komitecie narodowym. I zamiast niego, piastującego stanowi-

sko prezesa z wyboru, mianowano p. Mirczewa.

– „Ależ w takim kontakcie moralnym z VMRO – woła p. Kondow – jest 90⁰/0 Macedończyków. Walka rewolucyjna o wolność jest religją Macedończyków, jej idea tkwi w ich duszach”.

Niemniej szef tej organizacji, Iwan Michajłow, musiał zbiec do Turcji azjatyckiej, dwaj zaś bliscy jego współpracownicy: Kurtew i Nastew zostali osadzeni w obozie koncentracyjnym. Kurtew w tym samym obozie, co i mój rozmówca, p. Kondow. Obydwaj siedzieli razem z 11 innymi internowanymi Macedończykami; byli to nauczyciele, posłowie, adwokaci, dziennikarze. Osadzono ich w miejscowości Łom, w koszarach wojskowych. Dni spędzali na grze w karty i spacerach, na czytaniu gazet i książek. P. Kondow przebył 3 miesiące w Łomie i dwa miesiące w Asenofgradzie. Od ranka 22 sierpnia, gdy tajni agenci zjawili się w jego mieszkaniu i, po skonfiskowaniu kilku listów, zabrali go do dyrekcji policji, gdzie mu oświadczono, iż jest areszto-

wany, spędził tych pięć miesięcy, wstając o 7 rano i rozpoczynając noc o 10 wieczór. Z początku 6-ciu, a potem jeden żołnierz dozorował go i jego towarzyszy, gdy codzień odbywali przechadzkę na dziedzińcu koszarowym. We wtorki i piątki każdego tygodnia przyjmowali wizyty rodzin i bliskich, rozmawiając z nimi godzinę, od 10-tej do 11-tej rano, w obecności oficera lub podoficera dyżurnego, poczta była cenzurowana. Czasu, spędzonego jednak w koszarach – powiada – nie zmarnował. Przeczytał bowiem pamiętniki Poincarégo i Lloyd George'a. W środy przychodził doktor. Wypadków bicia lub znęcania się nie było. Raz tylko jeden z aresztowanych, poseł macedoński, Mermew, uległ atakowi apopleksji i z polecenia lekarza wysłano go do Sofji, by po wyleczeniu spowrotem umieścić w obozie. Z początku w obozach koncentracyjnych znajdowało się około 300 działaczy macedońskich, w tej chwili znajduje się już tylko 103. Zwolniono zatem dwie trzecie. Sam p. Kondow, opuszczając obóz, podpisał deklarację, że nie będzie uczestniczył w życiu dawnych

partji politycznych, których istnienie zostało przez rząd zakazane. P. Kondow nie rozumie tego, jako wyrzeczenia się udziału w życiu organizacji macedońskich, gdzie w dalszym ciągu zamierza pracować i walczyć. Tembardziej, że jego następcą na stanowisku prezesa komitetu narodowego nie został wybrany, lecz zamianowany; że obsadzenie prezesury zatem nastąpiło wbrew statutowi i, że komitet obecny nie cieszy się autorytetem wśród Macedończyków.

– „Należy wiedzieć – mówi p. Kondow – że w sprawach macedońskich inaczej mówią Macedończycy, a inaczej rząd bułgarski. Rząd bułgarski nie występuje w imieniu Macedończyków. Od rządu bułgarskiego żądamy tylko, by bronił naszych praw mniejszościowych w państwach sąsiedzkich. Pragniemy niepodległości i wywalczymy ją sobie wreszcie”.

Zauważyłem ze swej strony, że, żądając od rządu bułgarskiego obrony, Macedończycy jednocześnie wstępowali w prawa rządu.

– „Nigdy Macedończycy nie wstępowali w prawa rządu – odparł p. Kondow.

– „Ależ obciążaliście ludność macedońską podatkami na rzecz organizacji rewolucyjnej” – rzekłem.

– „Organizacja potrzebowała pieniędzy – odparł p. Kondow – żądano ich tylko od Macedończyków”.

„Organizacja zabijała, występując w charakterze sądu” – powiedziałem.

– „Zabijano za zdradę – brzmiała odpowiedź. Zabijano ludzi odpowiedzialnych wobec organizacji”.

– Za zdradę?... – zapytałem.

– Za zdradę na rzecz Jugosławji, lub Grecji, za zdradę idei, za nadużywanie imienia organizacji rewolucyjnej.

Twardo brzmiały te słowa w ustach tego małego człowieka, który był raczej niskiego, niż średniego wzrostu, a wypowiadał je ze spokojem i obojętnością. Mój rozmówca zacytował mi kilka przykładów. „Ot, jechali przez miasto Petrycz kupcy z Salonik do Sofji. Zabito ich i okradziono. Zbrodnia i kradzież poszły na rachunek organizacji rewolucyjnej. Władze bowiem nie zdołały wykryć spraw-

ców. Ale wykryła ich milicja VMRO. Zapadł wyrok zgładzenia sprawców napadu i wyrok wykonano. Sprawców napadu na kupców – zabito”. Zabito też – ciągnie p. Kondow – sprawców zabójstwa poprzedniego szefa VMRO Todora Aleksandrowa. I opowiada z podziwu godnym spokojem historję tych strasznych porachunków.

– Po wojnie zaczęła się w Macedonji odradzać rewolucyjna organizacja VMRO, pod kierownictwem Todora Aleksandrowa. Aby przeszkodzić odradzaniu się i wzmacnianiu ruchu macedońskiego w okręgach jugosłowiańskich, Serbowie uciekli się do pomocy dawnych funkcjonarjuszów VMRO i znaleźli współpracowników w osobach Todora Panicy, Cilewa, Sokolnickiego i innych, którzy popierani przez rząd Stambolijskiego zaczęli walkę z VMRO. Todor Aleksandrow na czele oddziałów partyzanckich, tak zwanych wojewodów macedońskich, Panczo Michajłowa i Iwana Barliu, zjawił się w Kiusterdilu dla „ukarania” renegatów, z których część zbiegła do Jugosławji. Następnie organizacja zmu-

szona była uczynić to samo w Newrokopie, a w r. 1923 udzielić pomocy zamachowcom Bułgarskim w czasie zamachu stanu 9 czerwca.

– „W sierpniu r. 1924 w górach Pirynu został zamordowany Todor Aleksandrow przez komunistów i przy udziale Macedończyków z powodów czysto wewnętrznych. (Todor Aleksandrow wycofał się z zamierzonej współpracy z komunistami, *przyjp. spraw.*). Przyjaciele Aleksandrowa dokonali wówczas szeregu zabójstw osób, winnych śmierci Aleksandrowa. W sprawę zamordowania Aleksandrowa był zamieszany gen. Aleksander Protogerow, który, będąc członkiem komitetu rewolucyjnego, dla zatarcia śladów swego udziału w morderstwie, wymordował wszystkich, którzy o nim wiedzieli. Ta działalność Protogerowa (p. Kondow mówi „działalność”) doprowadziła skolei do egzekucji nad nim. Zabójstwo generała Protogerowa odseparowało jego zwolenników od organizacji, stworzyli oni grupę tak zwaną „protegorowistów”, która zaczęła konspirować przeciw organizacji

VMRO, nie mając innych środków – mówi p. Kondow uciekła się do egzekucji.

I tu dodaje:

– „Narodowy komitet macedoński był tym sprawom obcy, starał się jednak wpłynąć na pogodzenie obydwu stron. Przedsięwzięte przez zeń kroki nie dały jednak rezultatów, głównie z powodu nieustępliwości „protogerowistów”. Wystąpienia ich przeciw organizacji były zresztą piętnowane przez cały szereg zjazdów macedońskich. Za to znów zostali zamordowani: prezes narodowego komitetu macedońskiego – Dymiter Michajłow, członek tegoż komitetu Szteriu Bożinow, dyrektor dziennika „Makedonja” – Symeon Jeftimow, dokonano również nieudanych zamachów na posłów macedońskich: Stojanowa Filipowa i Piotra Mermewa oraz sekretarza komitetu Wasyla Wasylewa”.

Tak wyglądają mroki konspiracji macedońskiej w ustach jednego z bojowników Macedonji.

Czy to wszystko? Czy wyliczono wszystkie akty gwałtów, które gwałtami się odciskały?

Nie! W Pradze zabili Macedończycy byłego ministra bułgarskiego Rajko-Daskułowa – „był odpowiedzialny wobec organizacji” – mówi p. Kondow, – we Wiedniu, w Burgteatrze, podczas przedstawienia „Peer Gynta” zabito Todorą Panicę (zabiła go obecna małżonka znajdującego się właśnie w Turcji Iwana Michajłowa, wówczas jeszcze panna Korniczewa), w Medjolanie zabito dawnego członka VMRO, Czaulewa, który nawiązał kontakty z komunistami moskiewskimi.

I p. Kondow cytuje jeszcze szereg wypadków, jak strzały do obecnego ministra spraw wewnętrznych Jugosławji, gdy był dyrektorem policji, jak strzały do prokuratorów jugo-słowiańskich itd. itd.

P. Kondow nie wierzy w trwałość porozumienia jugosłowiańsko-bułgarskiego. Metody serbizacji Macedończyków są bowiem zbyt odstrasające.

Pozatem, jak powszechnie wiadomo, Macedończycy z pod znaku VMRO są złączeni z rewolucyjnymi Chorwatami.

Obecny prezes komitetu narodowego Ma-

cedonji, p. Mirczew, powiedział mi coprawda, że „Komitet Narodowy Macedoński nie znajduje się w żadnym kontakcie z Chorwatami”, ale jest rzeczą wiadomą, że jeszcze od r. 1929 datuje się umowa chorwacko-macedońska, zawarta w Sofji czasu pobytu tam, mieszkającego obecnie w Turynie, d-ra Pawelicza.

– „Dla odrodzenia organizacji rewolucyjnej potrzeba kilka bomb, kilkanaście karabinów” – mówili mi Macedończycy. – I dlatego godzi się zapytać, czy spokój, panujący w Petryczu jest trwały?

*

*

*

Jesteśmy w Petryczu i w towarzystwie mera tego 12-tysięcznego miasteczka, p. Piotra Berbowa, dwóch wojskowych z petryckiego garnizonu, kpt. Filipowa i por. Gorczyłowa, dwóch obywateli miejscowych: dyr. banku macedońskiego, Spasowa oraz inż. Mitkowa przechadzamy się po ulicach starego Petrycza. Oglądamy nędzę. Ruiny domów w starej dzielnicy tureckiej walczą o pierwszeństwo

z domkami, których fundamentem bywa kupa zbitych kamieni, z domkami przypominającymi kurniki – z zabitemi deskami oknami albo z oknami zatkanymi łachmanami lub zalepionymi papierami. Ale w każdym domku, nawet w małym domku dla bezdomnych, panuje wzorowa czystość. Wyszorowana podłoga i ściany wymyte. W Macedonji panuje bieda. Za dużo mieszka ludzi w Macedonji na zbyt małym skrawku ziemi. Na 6-cio osobową rodzinę wypada w bułgarskiej Macedonji 9-18 ha ziemi. Rodzi ona tytoń i owoce. 6-cio osobowa rodzina macedońska żyje za 8-12 tys. lewów rocznie, to jest za produkcję 100.000 kg. tytoniu. Aby rodzina macedońska mogła, jako tako wyżyć, musi zarobić 24 tys. lewów. Od każdego sprzedanego kilograma tytoniu płacili Macedończycy podatek na rzecz organizacji rewolucyjnej.

Teraz, gdy rząd zlikwidował organizację rewolucyjną – podatków tych ludność nie płaci. Przynajmniej tak mi mówili jej przedstawiciele.

Iwan Michajłow nie rządzi już w Petryczu.

Panami sytuacji są pp. płk. Popow, dowódca garnizonu – Barbow, mer miasta i Peszkow, szef policji. Rozmawiałem ze wszystkimi trzema.

Według prawdopodobnych obliczeń, zlikwidowana organizacja rewolucyjna liczyła w centrum Macedonji, to jest w Petryczu 150 członków.

Szef policji, p. Peszkow, dysponuje teraz 40 policjantami, którzy panują według niego całkowicie nad sytuacją.

– Przed 19 maja – mówił mi p. Peszkow – były wypadki zabójstw politycznych. Ale od tego czasu zanotowano tylko jeden wypadek zabójstwa i to z... miłości.

Dowódca garnizonu, pułk. Popow, dysponuje 50 żołnierzami i kilkoma oficerami.

I wojsko panuje nad sytuacją w Macedonji.

Widziałem żołnierzy petryckich, gdy na sobotniej wieczorynce obtańcowywali wraz ze swymi oficerami miejscowe obywatelki i, trzymając się za ręce w kole, pływali w takt monotonnej muzyki narodowy taniec macedoński „Choro”. W koszarach petryckich odby-

wają się co tydzień zabawy lub przedstawienia amatorskie, w czasie których oficerowie i żołnierze mogą z całą swą egzaltacją mówić o wielkiej miłości ojczyzny. I tą miłością dla „gosударstwa” pragną Bułgarzy pogodzić Macedończyków z ich obecnym losem.

P. Berborow, mer miasta Petrycza, mówił mi, że ludność już rozumiała, iż tylko legalnemi środkami będzie mogła uzyskać poprawę swej doli.

Szliśmy wśród niskich domków; w wybitych oknach ich suszyła się na słońcu kukurydza: ludzie wygrzewali się przed domkami, a śnieg topniał... spływając wartko do strumyka górskiego. Muły ciągnęły wozy, a małe objuczone osły niosły wielkich Macedończyków – w górę, w górę...

W górach Pirynu, które były świadkiem śmierci dawnego szefa VMRO, Todora Aleksandrowa, w górach Belasicz, które posiadały tyle tajemnic konspiracji macedońskiej – panowała cisza. Zdaleka tylko słyszeć było nawoływania pasterzy.

Mer miasta Petrycza oświadczył mi, że sytuację uważa za opanowaną.

Myślałem o rozmowie swej z Kondowem. W głowie mej bowiem utkwił obraz, gdy, żegnając się ze mną jeszcze w Sofji i, pokazując mi fotografię zabójcy Króla Aleksandra, uśmiechnął się zlekka, a wyraz jego twarzy był nieodgadniony.

Ten nieodgadniony wyraz miałem przed oczyma, gdy słuchałem uspakajających zapewnień mera miasta Petrycza, miasta w którym doniedawna jeszcze panował wódz VMRO, Iwan Michajłow.

Miałem do Iwana Michajłowa list polecający w kieszeni. List, który mi dali „jego ludzie” w Sofji. Ten list miał mi otworzyć wrota jego siedziby w Turcji Azjatyckiej.

Iwan Michajłow, szef Vetresznej Makedonskiej Rewolucyjnej Organizacji, jest najbardziej tajemniczym Bałkańczykiem. Rozmowa z nim była pewnością marzeniem wielu dziennikarzy. List, który otrzymałem od „jego ludzi” w Sofji, miał mi ją umożliwić. Ale droga od Turcji Azjatyckiej jest daleka, jak da-

lekie wydaje się dziś odrodzenie organizacji rewolucyjnej w Bułgarji.

Spokój bowiem panuje w Petryczu!

Pomyśleć, że spokój tego miasta zakłócało doniedawna 150 rewolucjonistów macedońskich, że teraz utrzymuje go 90 policjantów i żołnierzy. Spokój panuje wśród Macedończyków.

Wszystkich ich razem jest tylu, ilu mieszkańców liczy Warszawa z przedmieściami. W samej Bułgarji niema ich więcej, niż mieszkańców przeciętnego miasta wojewódzkiego. Potrafili jednak poważnie niepokoić Bułgarję, Jugosławję, całe Bałkany, świat cały...

XI

MLASKAMY JĘZYKIEM

Ateny.

Grecja też płaci za sprawę macedońską. Ma Grecja swoich Macedończyków, ale trzyma ich mocno za łeb. Nie można mówić w Grecji po bułgarsku; ani książki, ani gazety bułgarskiej nie znajdziecie w małych miasteczkach greckiej Macedonji, gdy przekroczycie granice między Grecją i Bułgarią, jak ja to uczyniłem, po kładce na rzece Struma.

Na tej granicy usypali sobie żołnierze bułgarscy okopy. Może kiedyś wypadnie im bronić się tych okopach przed Grekami. Dziś Bułgarzy okopują się, ale jutro – jutro w znaczeniu dalekiej przyszłości – mogą pójść na grecką Macedonję. Grecka Macedonja powinna należeć do Bułgarów, – takie jest prze-

konanie Bułgarów. Nie bez pewnej słuszności powiadają o niej: Macedończykom jest za ciasno w Petryczu, Gdy grecka Macedonja pustkowieм stoi.

Może mają w tem pewną rację. Godzinę jechałem autem od granicy bułgarskiej od miejscowości Kula do Denir Hissar i żywej duszy nie napotkałem. Auto posuwało się przez pustkowie, kołysząc się po wybojach kiepskiej drogi, leżącej u stóp ogromnych gór greckiej Macedonji. Te góry wystarczyłyby Grekom do obrony przed marzeniami słabej dziś i rozbrojonej Bułgarji. Ale od czegoż kredyty wojenne?

*

*

*

„Grecja przeznacza nowe kredyty na obronę Tracji i Macedonji.” – Takie wiadomości cytował mi z prasy kilka dni po przyjeździe do Grecji mój przewodnik, który czasu pobytu w Atenach tłumaczył mi niezrozumiałe gazety ateńskie.

Te wiadomości złe wrażenie zrobiły w Buł-

garji. Pisali mi o tem do Aten moi nowi znajomi z Bułgarji.

Przy najbliższej okazji, kiedy zostałem przyjęty przez premjera greckiego, p. Tsaldarisa, – gdy był jeszcze premierem – zapytałem go o to.

– Istotnie informacje – odparł – które się ukazały w prasie greckiej o projekcie organizacji obrony Macedonji Wschodniej, były nieprzychylnie skomentowane w Bułgarji, gdzie stały się powodem pewnej emocji.

Zapytałem p. Tsaldarisa o te projekty.

– Trudno mi o nich mówić, ponieważ znajdują się dopiero w stadjum studjów w różnych instancjach i niewiadomo, jaki będzie im nadany dalszy bieg – odparł z największą ostrożnością premier grecki i dodał:

– Mogę pana zapewnić, iż naprawdę przedwczesnem byłoby wyprowadzenie z tego nieprzyjaznych wniosków przeciwko komukolwiek. Nie znam w Europie żadnego kraju – dodał – któryby, wierząc święcie w pokój, lekceważył sobie elementarne środki zabezpieczenia swoich granic.

Następnie p. Tsaldaris mówił mi jeszcze:

- Polityka Grecji nie zwraca się przeciwko nikomu. Bylibyśmy bardzo szczęśliwi, jeśliby Bułgarja wstąpiła do bloku bałkańskiego, którego stanowi zarówno ekonomicznie, jak i politycznie element przyrodzony. Możemy się cieszyć z objawów zbliżenia między Bułgarją, a innymi jej sąsiadami. Należenie Bułgarji do bloku bałkańskiego wskutek tego staje się łatwiejsze, gdyż w miarę usuwania trudności, odgradzających ją od sąsiadów, zrozumienie korzyści, jakieby wynikły z udziału jej w polityce bałkańskiej, stają się jaśniejsze. Szczerze sobie życzę – kończył b. premier Grecji, aby Bułgarja mogła usunąć wszystkie przeszkody, które ją odgradzają od sąsiadów.

Łatwo to mówić premierowi Grecji. Tylko do zlikwidowania nieporozumienia, dzielącego Bułgarję od sąsiadów, trzeba wzajemnej dobrej woli. Niedosć wymagać jej od Bułgarji, trzeba, aby ją też okazała Grecja. Tymczasem Grecja nie zamierza pójść na żadne wobec Bułgarji ustępstwa. Zapytajcie pierwszego lepszego Greka, czy możliwe jest oddanie

choćby jednej piędzi ziemi Bułgarji – odpowie wam odchyleniem głowy wtył, uniesieniem w górę brwi, otworzeniem szeroko oczu i młaskaniem języka. Będzie to znaczyło – „nie”.

Mimo to każdy Grek będzie twierdził, że Grecja chce żyć w zgodzie ze wszystkimi. Ostatni prezydent Republiki Helleńskiej, p. Aleksander Zaimis, drugi po Massaryku ze starzeństwa prezydent w Europie, – liczy sobie bowiem lat 80 – powiedział mi, gdy do jego pałacu przywiózł mnie na uroczystą audjencję nasz chargé d'affaires w Atenach, p. Zygmunt Wierski, co następuje:

– Grecja pragnie żyć w zgodzie ze wszystkimi swoimi sąsiadami.

Nie popełnię chyba niedyskrecji wobec tego dostojnego rozmówcy, jeśli powiem, że porównywując możliwości morskie Grecji i Bułgarji, chelpił się, że...

„...flota handlowa Grecji rozwija się. Grecja konkuruje z okrętami handlowymi potęż-

nych krajów morskich nawet na rynkach południowo-amerykańskich.”

A potem dodał à propos Bułgarji:

– Oni też mają dostęp do morza...

Łatwo to mówić sędziwemu prezydentowi Republiki Helleńskiej, – ostatniemu prezydentowi usuniętemu niedawno przez nową rewoltę monarchistyczną – ponieważ jest to najzupełniej ściśle. Różnica polega tylko na tem, do którego morza mają dostęp Bułgarzy. Bułgarzy mają dostęp do morza Czarnego, Grecy zaś mają port śródziemnomorski i dlatego mogą konkurować nawet z okrętami handlowymi angielskimi na rynkach południowo-amerykańskich, są bowiem państwem śródziemnomorskiem i ongiś, w czasach zamierzchłych, dlatego właśnie panowali nad światem. I również z tego powodu prą Bułgarzy na Trację i Macedonję, by dostać się z powrotem do Salonik i do morza Egejskiego, a stąd na szeroki świat. I właśnie w tem dalekowidze polityczni Jugosławji i Bułgarji – ci dalekowidze, którzy myślą o zjednoczeniu Bułgarji i Jugo-

sławji – widzą cel zjednoczenia w przyszłości tych obudwu poróżnionych doniedawna państw.

Polityka Grecji jest śródziemnomorska. Ale polityka Grecji jest również bałkańska. Dlatego Grecja stara się manewrować między Włochami i Ententą bałkańską i dlatego Grecy, trzymając się w pewnych okresach Włochów, związali się z Ententą bałkańską. Ententę podarował jakgdyby Grecji jeden z jej dobroczyńców, Figaro ministrów spraw zagranicznych, p. Titulescu, pakując do tej Ententy m. in. Jugosławję wbrew jej woli.

Obecnie rząd Grecji jest więcej probałkański i profrancuski w swojej polityce zagranicznej, niż jego przeciwnik, stary Kreteńczyk, przebywający dziś na emigracji, Eleutherios Venizelos. Gdy rząd Tsaldarisa zdecydował się na przystąpienie do paktu bałkańskiego, Venizelos zaczął tę decyzję krytykować. Venizelos dążył do wystąpienia Grecji z bloku bałkańskiego. Venizelos reprezentował wpływy włoskie, Tsaldaris wpływy francuskie. Venizelos mówił, gdy jeszcze, będąc w Grecji, ata-

kował blok bałkański, że „koniecznością jest orjentowanie polityki greckiej, jako śródziemnomorskiej, dla uzgodnienia interesów greckich z włoskimi. Właśnie Venizelos twierdził że koniecznością jest też posiadanie poparcia Włoch przeciw apetytom Jugosławji i Bułgarji na Trację i Saloniki”.

„Uczestnicy muszą wystąpić zbrojnie we wzajemnej obronie swoich granic, jeśli nawet napastnikiem jest państwo pozabalkańskie” – głosi aneks do paktu bałkańskiego.

„Byłoby absurdem myśleć – powiedział wówczas Venizelos do dyplomatów zagranicznych, aby w razie jakichś komplikacji pakt bałkański wmieszał Grecję w wojnę z Włochami.”

„...Ponieważ konferencja ambasadorów w roku 1921 przyznała mocarstwom pewien wgląd w sprawy Albanji, a zwłaszcza uznała interesy specjalne Włoch w Albanji, trudno sobie wyobrazić uniknięcie konfliktu z Włochami, gdyby armja włoska współdziałała z wojskami albańskimi przeciw Jugosławji.”

Było to na śniadaniu, które Venizelos wy-

dał dla posłów zagranicznych, akredytowanych w Atenach: m. in. dla posłów Francji, Anglii, Polski i Hiszpanji, –

– Czy moglibyśmy powiedzieć Włochom: usuńcie się, abyśmy mogli uregulować nasze sprawy z Albańczykami, przeciw którym mamy bronić granic Jugosławji na Bałkanie? – mówił Venizelos do swych gości.

Wybór byłby nieunikniony: albo wojna z Włochami, albo niedotrzymanie zobowiązań wobec Jugosławji.

Śniadanie u Venizelosa było pewnością doskonale. Ale żołądki dyplomatów wchłaniały mniej intensywnie wyszukane potrawy, bardziej natomiast intensywnie pracowała ich pamięć. Słuchali bowiem uważnie, aby zaraz po śniadaniu szyfrować do swoich rządów słowa potężnego podówczas, choć będącego w opozycji, Venizelosa.

„Grecja nie może sobie pozwolić na wojnę z wielkiem mocarstwem – powtarzali dyplomaci w swoich szyfrach za Venizelosem, – ani na zdradzenie Jugosławji poraz drugi w ciągu lat dwudziestupięciu.

Tak mówił Venizelos, który dziś jest już emigrantem.

Zdanie Tsaldarisa zaś, obalonego właśnie ostatnio premiera greckiego, było inne. Gdy go zapytałem w czasie jednej z rozmów, co sądzi o pakcie bałkańskim i innych projektach organizacji pokoju w Europie, odparł:

– „Wzajemna zależność naszych interesów z interesami innych narodów bałkańskich, jest rzeczą oczywistą. Nie potrzeba też z tego powodu podkreślać konieczności utrzymania stosunków coraz bliższych z naszymi sąsiadami bałkańskimi. Jeżeli Grecja jest, jak to już nieraz w ostatnich czasach wykazano, krajem śródziemnomorskim przez liczne więzy, zarówno ekonomiczne, jak kulturalne, łączące ją z innymi krajami morza Śródziemnego i Zachodu, to niemniej jest też krajem kontynentalnym i bałkańskim przez swe granice północne, przez wzajemne przenikanie się ras półwyspu bałkańskiego, którego stanowi najstarszy składnik, a przede wszystkim przez doniosłość interesów politycznych, łączących ją z innymi krajami Bałkanów.

„Te właśnie okoliczności tłumaczą w dostatecznej mierze, dlaczego Grecja nie może pozostać poza nawiasem ruchu, mającego na celu zbliżenie między narodami bałkańskimi, ruchu, który od kilku lat wzmógł się znacznie pod wpływem znanych okoliczności. W miarę, jak państwa bałkańskie coraz bardziej się organizują politycznie i ekonomicznie, widzimy w naszym udziale w życiu Bałkanów konieczność, która się coraz silniej narzuca.

„Nie trzeba oczywiście podkreślać, że zbliżenie się nasze do przyjaciół bałkańskich nie wyklucza wzmocnienia przyjaźni z innymi krajami morza Śródziemnego. W polityce wogóle, zwłaszcza zaś w polityce zagranicznej, nie można tworzyć żadnych formułek ekskluzywnych, gdyż więzy istniejące między poszczególnymi państwami zazębiają się wzajemnie i uzupełniają się. Odnosi się to przedewszystkiem do Grecji.

„Ta właśnie okoliczność dała naszemu położeniu dyplomatycznemu wielkie znaczenie. Z zainteresowaniem śledziliśmy pracę pokojową, jaka obecnie rozwija się w Europie i szczerze

radujemy się z jej rezultatów. Protokoły rzymskie w pierwszym rządzie zawierają zasady o wielkiem znaczeniu dla pokoju świata, to też warto byłoby zastosować je również w stosunkach między szeregiem państw. Życzę z całego serca, aby kraje zainteresowane bezpośrednio mogły dojść do porozumienia co do środków, zdolnych zabezpieczyć realizację tych zasad. Zastosowanie ich byłoby dla nas bardziej owocnem, gdyby rozciągało się również na część Europy, którą my zamieszkujemy. Byłoby rzeczywiście trudno wyłączyć z organizacji pokoju tak znaczną część, jaką jest południowy-wschód Europy. Wzmogłoby to bezwzględnie pewne trudności we wzajemnych stosunkach państw Europy, co uczyniłoby zaufanie między narodami nad wyraz kruchem, zaufanie, które starają się wpoić przez załatwienie innych zagadnień Europy centralnej.

„Poglądy te dzielają wszyscy nasi przyjaciele bałkańscy i jestem szczęśliwy, że mogę przy tej sposobności podkreślić ścisłą solidarność krajów, należących do bloku bałkańskiego. Jest rzeczą bezwzględnie pocieszającą,

że można stwierdzić wysoki stopień wzajemnej solidarności tego bloku wobec trudnych zagadnień, a dobrym prognostykiem dla niego jest identyczność poglądów czterech rządów, należących do bloku wobec problemów nad wyraz delikatnych, które wypłynęły podczas konferencji dyplomatycznych w chwili obecnej”.

Tak brzmiały słowa tego szefa rządu greckiego, który pokonał ostatnią rewolucję venizelistyczną. Gdy zacytowałem je jednemu z wybitnych dyplomatów ateńskich, powiedział mi:

– Kiedy myślę o tem, co powiedział premier Tsaldaris, tem lepiej rozumiem, że za kulisami tej rewolucji stała Francja i Włochy.

Później przekonaliśmy się, że nie Francja, lecz Anglja stała za kulisami obalenia właśnie p. Tsaldarisa przez oficerów greckich...

*

*

*

Venizelosowi przypisywano, iż szukał on poparcia Włoch.

Powiedziałem mu to wprost, gdy po odbyciu podróży hydroplanem z Faler pod Atenami na Rodos, odpłynąłem z Venizelosem z Rodosu do Neapolu.

– Zarzucano panu kontakt z Mussolinim, a właściwie przypisywano Mussoliniemu i rządowi włoskiemu popieranie ostatniej rewolucji greckiej.

Stary Kreteńczyk nie ździwił się, ani oburzył. Spojrzał tylko zpoza szkieł błyszczących okularów swemi szarozielonemi oczyma:

– Jak można dopuścić taką myśl, – odparł, poprawiając na głowie jedwabne kepi i głaszcząc swą śpiczastą bródkę. – Stanowisko Włoch wyraziło się w stosunku do rewolucji i wyraziło się negatywnie. Włochy nie dopuściły generała Plastirasa do Grecji.

Taka była odpowiedź Venizelosa. A trzeba wiedzieć, że generał Plastiras, który dokonał przed Venizelosem nieudatego zamachu, zamieszkuje obecnie na Riwierze francuskiej, w Cannes, i na wiadomość o ostatniej rewolucji przybył natychmiast do Brindisi, chcąc z Brindisi przedostać się do Grecji. W Brindisi jed-

nak władze włoskie uniemożliwiły mu dalszą podróż.

Venizelos ciągnął dalej:

– Gdyby dopuszczono generała Plastirasa do Grecji, rewolucja mogłaby mieć większe szanse powodzenia. Więc skoro Włochy swym stanowiskiem wobec Plastirasa przeszkodziły rewolucji, czyż można podejrzewać je o udzielenie rewolucji pomocy?

– A o sympatję? – zapytał Venizelos.

– Istotnie – odparł – rząd włoski okazał nam dużo sympatji, ale dopiero po przegranej rewolucji. Depeszcowałem do Mussoliniego o umożliwienie nam schronienia się na ziemi włoskiej. Włosi przyjęli nas gościnnie, gdyśmy wylądowali w Dodekanesie po klęsce. Ale to nie jest udział w przygotowaniach rewolucyjnych. – Zresztą dałem panu dowód: stanowisko Włoch wobec Plastirasa, który mógłby być mścicielem republiki. Cóż mogło panu nasuwać myśl o współdziale Włoch?

– Pana stanowisko wobec paktu bałkańskiego – odparłem prosto z mostu.

Venizelos rozłożył ręce, starcze ręce, które kiedyś kierowały Grecją.

– A, to co innego! Ja pragnę dla Grecji przyjaźni z Włochami. Protestowałem przeciwko tajnemu aneksowi do paktu. (O aneksie tym pisałem uprzednio. Przyp. mój.) W razie wybuchu wojny między Albanją a Jugosławją naprzykład, bylibyśmy zobowiązani iść przeciw Albanji. Na to Grecja nie może sobie pozwolić. Polityka Grecji nie może być antywłoska.

– We Francji jednak – zauważyłem – odzywały się głosy niezadowolenia spowodu pana stanowiska w sprawie paktu bałkańskiego.

– Wiem, że nasi przyjaciele we Francji pragnęliby, aby ten pakt wszedł w życie w pierwotnej redakcji. Ale ponad życzeniami przyjaciół stoi interes Grecji.

Zastanowił się przez chwilę, jakgdyby szukając czegoś w pamięci, i dodał:

– Powiedziałem to Barthou, gdy odwiedziłem go przed rokiem w Paryżu. Wyjaśniłem mu mój punkt widzenia, który był punktem widzenia interesów Grecji. „Nie trzeba mi te-

go wyjaśniać – odparł Barthou – rozumiem pana.” I zresztą mój punkt widzenia został zaakceptowany, znalazł on zrozumienie w Paryżu, zaaprobowano go w Atenach. Czegoż mi z tego powodu robi się zarzuty, skoro dzięki mnie usunięto z paktu bałkańskiego to, co było dla Grecji najbardziej niebezpieczne.

Może Venizelos ma rację, że dzięki niemu usunięto z paktu bałkańskiego to, co było w nim niebezpieczne. Ale, mimo to, pakt ten istnieje. I nie są z niego zadowolone Włochy.

XII

WSCHODNI WIATR

Ateny - Genewa.

Włochy nie są zadowolone z paktu bałkańskiego, ale mogą być zadowolone z roli swej na Bałkanie. Różne wpływy działają na Bałkanie. Są to wpływy angielskie i francuskie, niemieckie i sowieckie. Sowieckie, ostatnio, wzrosły niepomniernie. Wschodni wiatr z Sovietów wieje przez Turcję. Z Turcji idzie do Grecji, z Grecji do Bułgarji itd.

Kiedy rozmawiałem z prezydentem republiki greckiej, p. Aleksandrem Zaimisem, zapytałem go:

– Czy pan Prezydent wie, jak wielkie wpływy w Turcji posiada Rosja Sowiecka?

– Nie jestem o tem poinformowany – odparł p. Zaimis.

To była odpowiedź dyplomatyczna. Na ustach p. Zaimisa wykwitł chytry uśmiech, jego starcze oczy śmiały się; nie dał się wciągnąć w niebezpieczną dyskusję.

Bardziej szczery był p. Tevik Rustu Aras, minister spraw zagranicznych Turcji i najbliższy współpracownik Kemâla Atatürka.

– Turcja jest zaprzyjaźniona z Rosją, – zauważyłem, podczas rozmowy.

– Naturalnie, jesteśmy przyjaciółmi – odparł turecki minister.

– Sowiety posiadają wielkie wpływy w Turcji – kontynuowałem.

– Gdy się jest przyjacielem Turcji, ma się w Turcji wpływy.

– Czy wpływy te nie mogą się stać niebezpieczne? – zapytałem.

– Niema przyjaźni niebezpiecznych – odpowiedział p. Tevik Rustu Aras, jakgdyby cytując jedno z wschodnich przysłów.

Po chwili dodał:

– Nie mam potrzeby mówić, że Turcja ma jedną z najlepszych armji.

– Wiedzą coś o tem Grecy, – zauważyłem.

– Nie chcemy z nimi walczyć – rzekł mi turecki minister spraw zagranicznych – uważamy ich za braci.

– Mimo to Turcja zabrała Grecji Trację – rzekłem.

– Nie zabrała, ale odebrała. Tracja nie była grecka, jak Galicja nie była austriacka – odciął się p. Tevik.

P. Tevik Rustu Aras mówił mi w gorących słowach o Polsce.

– Chciałbym wobec pana, jako dziennikarza polskiego, podkreślić – brzmiały jego słowa – iż cieszymy się, że możemy podtrzymywać z Polską jaknajbardziej przyjazne stosunki.

To prawda, iż stosunki między Turcją, a Polską są przyjazne. Pewne, iż spośród wszystkich państw europejskich Turcja jest ostatniem, które mogłoby z Polską wejść w jakiś konflikt.

Ale...

„...Jesteśmy przyjaciółmi Sowietów”.

„...Gdy się jest przyjacielem, ma się wpływy”.

„...Niema przyjaźni niebezpiecznych”.

Tak mówił mi p. Tevik Rustu Aras. I możecie wierzyć w czystość jego intencji, jak ja w nie wierzyłem, patrząc w jego zamglone, orjentalne oczy, ukryte za rogowymi okularami – gdyśmy gawędzili w pokoju ganewskiego hotelu de la Paix.

Inaczej jednak brzmią słowa o przyjaźni w ustach człowieka Wschodu, inaczej w ustach ludzi Zachodu.

P. Tevik Rustu Aras powiedział mi też kilka słów o Entencie bałkańskiej.

– Ententa Bałkańska ma na celu zabezpieczenie dobrego sąsiedztwa między wszystkimi państwami bałkańskimi.

Kiedy zaś zauważyłem:

– Bułgarja do Ententy Bałkańskiej nie należy, chociaż jest centralnem państwem bałkańskiem – i dodałem:

– Bułgarja będzie parla w przyszłości bardziej jeszcze na wschód Europy’.

P. Tevik Rustu Aras odrzekł:

– Każde państwo, które widzi swój cel na

Wschodzie, może nam zaproponować konfederację. Byłbym pierwszy, który wypowiedziałby się za konfederacją państw bałkańskich.

Znamy stanowisko Bułgarji. Mówił nam o niem jej minister spraw zagranicznych. „Bułgarja godzi się tylko na pakt bilateralne ze swymi sąsiadami, ale do bloku bałkańskiego nie przystąpi.” Bułgarja jednak nie będzie się biła z Turcją: jest na to dziś za słaba. Tak samo nie będzie się biła Grecja z Turcją. Dość miała nauczki, gdy nieszczęsny król zapędził się aż po Ankarę. Mimo to Kemal Pa-sza mógł powiedzieć w r. 1930 do Venizelosa, gdy była mowa o tej klęsce Grecji. (Venizelos przybył do Ankary w r. 1930):

– Mogę panu powiedzieć, że dzielnych oficerów ma armja grecka – brzmiały słowa wodza dzisiejszej Turcji.

Ci dzielni oficerowie greccy mają dziś znowu wielkie wpływy na losy swego kraju. Losy Grecji spoczywały w rękach polityków. Polityką zagraniczną Grecji kierowali trzej ludzie: b. premier Tsaldaris, b. minister Maxi-

mos i szef jego gabinetu p. Pipinelli, największa głowa polityczna Grecji – największa w dosłownem znaczeniu. P. Pipinelli dziś tylko szef gabinetu, a w przyszłości niewątpliwie minister spraw zagranicznych, reprezentuje najwyższą klasę dyplomatyczną na Bałkanie. Przez długi czas uchodził za nią p. Titulescu.

Przed dwoma laty, gdy rumuński minister spraw zagranicznych odwiedził Warszawę, byłem jedynym dziennikarzem, któremu udzielił on specjalnej rozmowy.

Wysoki, uśmiechnięty, z podniesionemi zlekka brwiami, o zmarszczkach tak charakterystycznych dla tego rodzaju twarzy, pozbawionych zarostu, siedział p. Titulescu w fotelu wagonu salonowego i mówił mi o swych projektach wojażerskich. Jechał do Sofji i tam miał mieć rozmowy z politykami bułgarskimi, potem miał pojechać do Ankary, aby podpisać pakt przyjaźni z Turcją.

– Utrzymujemy z Turkami najlepsze stosunki – powiedział mi.

Gdy zaś mówił o Grecji – oświadczył, iż, u-

waża ją za kraj faktycznie sprzymierzony z Rumunją.

Potem miał jechać do Belgradu. Okazało się, iż mimo wszystko, bardziej skuteczna była jego przyjaźń dla Grecji, niż Jugosławji. Jugosławję bowiem wpakował wbrew jej interesom do Ententy bałkańskiej, by Grecji zagwarantować nienaruszalność jej granic.

Rozmawiałem też z p. Titulescu o zbliżeniu między Rumunją i Sowietami. P. Titulescu powiedział mi wówczas, że poraz pierwszy zetknął się z sowieckim komisarzem spraw zagranicznych p. Litwinowem w lipcu r. 1933 w Londynie. Stało się to dzięki znanej inicjatywie polskiej zbliżenia między Rumunją i Rosją.

—Pragniemy zrobić wszystko — powiedział mi wówczas p. Titulescu — w kierunku umocnienia stosunków rosyjsko-rumuńskich i uczynienia ich nie tylko dobrymi, ale prawdziwie serdecznymi. Chcielibyśmy uczynić w tym kierunku wszystko co tylko możliwe.

P. Titulescu uczynił istotnie wszystko, co jest tylko możliwe, aby stosunki te były nie-

tylko dobre, lecz za dobre...

I wiedząc, jaką w tym względzie odegrał rolę, wołałem nie jechać do Bukaresztu, aby z nim mówić o roli Rumunii na Bałkanie. Wydaje mi się, iż jej minister spraw zagranicznych stał się dziś tylko pionkiem na szachownicy europejskiej, którego grający partnerzy przesuwają raz w jedną, raz w drugą stronę, raz wprawo, raz wlewo. (Jeszcze jeden przyczynek do galimatjasu na wschodzie Europy).

A propos tego galimatjasu, kilka uwag.

Błędem byłoby sądzić, iż sytuacja europejska znajduje się w stadium normalizacji. Takiego „galimatjasu”, jaki istnieje obecnie, dawno już nie było, – zwłaszcza, iż tych kilku panów, którzy mówią od czasu do czasu: „Pogodziliśmy się w Stresie, ” albo „Nowy akt zgody w Genewie,” nie jest ze sobą bynajmniej w zgodzie. I nie można się godzić na to, aby właśnie oni mieli ustalać w Europie nowy porządek rzeczy według nastrojów, które im dogadzają dziś, ale które życie przekreśla *jutro*.

Bo zważmy. Np. Anglja i Włochy ustalają wspólny front polityczny w Stresie.

Sprawa abisyńska front ten rozbija.

Włochy były w Stresie z Francją. Polityka Włoch jest niechętna Czechom. Jest prohabsburska, bywała antyjugosłowiańska.

Polityka Francji wprost przeciwnie. Im bardziej będzie się zbliżała Francja do Włoch, tem więcej Mała Ententa będzie groziła... Sowietami. Francja ma swe wpływy na Bałkanie i w państwach Małej Ententy. Sowiety w tych państwach rozwinęły niewiarygodną wprost aktywność polityczną. Jeśli dawniej na Bałkanie mogły ze sobą walczyć wpływy francuskie z włoskimi, jeśli Anglicy mogli na Bałkanie zachowywać swoją pozycję nadrzędną, to w stolicach bałkańskich dzisiaj walka między wpływami francuskimi i włoskimi schodzi na plan drugi wobec akcji sowieckiej.

Piszący te słowa spędził kilka długich tygodni na Bałkanie i akcji sowieckiej przyglądał się zbliska. Mówiąc też o wpływach sowieckich z ministrami spraw zagranicznych poszczególnych państw bałkańskich, mógł so-

bie zdać sprawę, że chcą one stać się tem, czem były za dawnych, carskich czasów.

Polska była pierwszym państwem w Europie, które doradzało swoim przyjaciółom na południowym-wschodzie Europy nawiązanie stosunków z Sowietami. Polska bowiem, jako jedyne państwo europejskie, naprawdę znające Rosję, mogła doradzać utrzymanie tych stosunków, ale na właściwym poziomie.

*

*

*

Niewiele państw zna Rosję. Np. sąd Francji o Rosji jest zazwyczaj powierzchowny.

Są Francuzi, którzy patrząc na mapę i widząc wielką, zieloną plamę, sądzą, że z tej plamy bije potężna siła, odpowiadająca jej rozmiarom. Mapa ta zresztą nie musi być konieczne.. powojenna. „Ludzie Zachodu” nie zawsze bywają mocni w geografii i dziwią się, gdy jadą od granicy niemieckiej do sowieckiej 13 i pół godziny przez Polskę.

Polska ma z Sowietami dobre stosunki.

Polska była tem państwem, które „przywiozło” do Moskwy poraz pierwszy przedstawiciela Rumunji. Był nim ówczesny poseł rumuński w Polsce p. Davilla, który pod auspicjami polskimi podpisał z Sowietami pakt. Wielu trzeba było wysiłków ze strony polskiej, żeby wytłumaczyć Rumunji, iż winna ułożyć swoje dobre stosunki sąsiedzkie z Sowietami.

Dziś p. Titulescu może uchodzić za najbliższego towarzysza politycznego p. Litwinowa.

Niektórzy politycy Małej Ententy grożą: „Jeżeli p. Laval będzie zbyt samodzielny Mała Ententa zbliży się do sowietów.”

P. Laval będzie miał wątpliwości, czy nie jest rzeczą ryzykowną iść na zbyt daleko idące umowy wojskowe z Sowietami, ale zdaniem plotkarzy, p. Titulescu będzie gotów oddać Sowietom do dyspozycji „bazy lotnicze” (?) Czechosłowacji i „korytarz” rumuński, przez który „kiedyś, w przyszłości będzie mogła maszerować armja sowiecka na... pomoc Francji (?). I będzie wówczas występował, jako minister spraw zagranicznych trzech państw

Małej Ententy, czterech państw bałkańskich i... omal nie Francji.

Kiedyś w Genewie p. Laval przez kilka godzin konferował z komisarzem spraw zagranicznych Sowieców. Jeden z ministrów Małej Ententy brał w tej rozmowie wydatny udział. I niewiadomo było właściwie, w jakim charakterze występował w tych rozmowach p. Laval, a w jakim minister owego państwa. Kto był właściwie ministrem spraw zagranicznych republiki francuskiej? Czy ów minister, czy też p. Laval?

Poszczególne państwa powiązały się taką siecią umów i sojuszków, że lęk o utratę wpływów wygrywa z wielką łatwością najdrobniejsza próba groźby...

...Za byłem podmuchem wiatru. Wiatru wschodniego....

ZAKOŃCZENIE.

Wybiegliśmy poza Bałkan, wypłynęliśmy na szerokie fale polityki europejskiej.

Czytelnik może zapyta: „Co mnie to wszystko obchodzi?” „Czy mamy jakieś interesy na Bałkanie?” Dla Polski istotne są na Bałkanie stosunki jej z poszczególnymi państwami bałkańskimi.

Bałkan Bałkanem! Bałkan dla Bałkańczyków!

Dziś istnieje Bałkan dla Bałkańczyków i ich opiekunów.

Może niezaдолго zechce Polska zagrać swą rolę na Bałkanie, – jak inni. Dziś jeszcze nie.

I tak Bałkany były. Są i będą.

Już dziś Polska ma swą rolę do odegrania nad Dunajem. I w tej roli Polski nad Dunajem niesłychanie ważną jest jej wiekowa przyjaźń z Węgrami.

O stosunkach polsko-węgierskich powiedział mi minister spraw zagranicznych Węgier, p. Kania de Kanya, szereg zdań, które warto tu zacytować:

„Przyjaźń polsko-węgierska, jest wytworem kilkusetletniej tradycji, zakotwiczonej silnie w duszy i pokrewieństwie losu obydwu narodów. Tradycja ta stanowi mocną podstawę dobrych stosunków między obydwojma państwami. Rząd węgierski stara się uczuciowym sympatjom, istniejącym między Polską a Węgrami, nadać wyraz realno-polityczny. Duchem tym owiana była podróż warszawska premjera Gömbösa i jestem przekonany, że interesy obydwu państw stykają się w wielu punktach, nie tylko na polu gospodarczym i kulturalnym, ale także i na politycznym. Z punktu widzenia gospodarczego istnieją pomiędzy potrzebami obydwu państw dziedziny, nadające się do wzajemnego uzupełniania się i z chęcią gotowi jesteśmy poddać dokładnemu egzaminowi w obopólnym porozumieniu istniejące jeszcze niestety trudności clearingowe i dewizowe, by wymianę towarów pomiędzy Polską

a Węgrami zintensyfikować. Tak samo istnieje dużo kulturalnych zadań – przede wszystkim badanie wspólnych stosunków historycznych – gdzie współpraca rokuje jaknajlepsze wyniki. Zawarte w Warszawie umowy stanowią poważny krok w tym kierunku, a jestem przekonany, że współdziałanie także na innych polach tylko może być korzystne.”

„Z zadowoleniem muszę przytem zaznaczyć, że stanowisko Polski w wielu kwestjach polityki europejskiej całkowicie pokrywa się z naszymi poglądami. I tak muszę szczególnie podnieść, że stanowisko pełne zrozumienia, jakie zajął przedstawiciel Polski z okazji konfliktu węgiersko-jugosłowiańskiego przed Ligą Narodów, wywołało na Węgrzech wielkie zadowolenie.

Dobre stosunki między Warszawą, a Budapesztem, stanowią pozytywny współczynnik nie tylko ze stanowiska ogólnej polityki europejskiej, ale w szczególności ze względu na problem reorganizacji obszaru naddunajskiego. Politykę obydwu państw cechuje konstruktywna woła pokoju. Wierzę z całego serca, że

zapoczątkowana obecnie w Rzymie akcja pacyfikacji środkowej Europy, będzie owocną i umożliwi, by Węgry i Polska także na tem polu mogły współpracować w duchu utrwalenia pokoju”.

I to jest istotnie bardzo ważne dla sprawy reorganizacji obszaru naddunajskiego w duchu utrwalenia pokoju.

*

*

*

Czego potrzeba dla reorganizacji obszaru naddunajskiego?

– „Współpracy Węgier i Austrii – mówił mi wódz dzisiejszej Austrii, książę Ernest Rüdiger v. Starhemberg. Współpraca Węgier i Austrii – to sprawa zasadnicza dla obydwu stron.”

Czy zatem Austro-Węgry?

Ks. Starhemberg powiedział:

– „Nowy system współpracy ekonomicznej w celu dokonania dzieła unji ekonomicznej, Pan-Europy ekonomicznej.”

Jedna jest trudność: niema wszak narodu austriackiego.

„A czy istnieje naród amerykański?” – replikuje kanclerz Schuschnigg.

Mimo to hitleryzm wciąż zagraża Austrii, a sprawa Habsburgów staje się więcej, niż kiedykolwiek aktualna!

Czy Austria może liczyć na swe własne siły dla utrzymania porządku i spokoju wewnątrz kraju?

Odpowiedź kanclerza Schuschnigga brzmi:
„Dziś więcej, niż kiedykolwiek”.

*

*

*

Kiedy zaczynałem tę podróż od wizyty u kanclerza Schuschnigga w Wiedniu, był styczeń. Stojąc przy oknie gabinetu kanclerza w Ministerstwie Oświaty, mogłem widzieć, jak przed katedrą, w której cieniu pracuje kanclerz, przechadzał się żołnierz, znacząc niezgrabnymi butami śniegiem pokryty trotuar.

– „Jesteśmy zbyt świadomi rzeczywistości w chwili obecnej – mówił kanclerz Schuschnigg – by nie uświadomić sobie kategorycznego nakazu unikania wszystkiego, co

mogłoby zburzyć odbudowę pokojową naszeko kontynentu. Austria – daleka od tego, by dążyła do celów, mogących stworzyć niebezpieczeństwo dla współpracy międzynarodowej, tak koniecznej w tej części środkowej Europy, – jest przekonana, że tego rodzaju współpraca, opierająca się na wzajemnem porozumieniu i na sprawiedliwym zrozumieniu wzajemnych interesów, jest zawsze możliwa.”

Mówiliśmy o sprawie powrotu Habsburgów. Temi tajemniczymi słowami odpowiedział mi kanclerz, ukrywając swe myśli. Tajemniczymi słowami człowieka, który oczy swoje zwykł ukrywać za okularami.

Było to w styczniu.

Minęła zima, przyszła wiosna. Z wiosną rodzi się nowe życie, nowe nadzieje.

Przyszło lato gorące, upalne i pewnego dnia wraz z upałem spadła na świat wiadomość, że Habsburgowie przestali już być banitami. Rząd austriacki zniósł ustawy wyjątkowe, dotyczące Habsburgów. Coprawda jeszcze nie wraca Otto do Austrii, ale już nie jest banitą. Rząd austriacki mówi, że między nim, a

byłą rodziną cesarską istnieje w tej sprawie *gentleman agreement*. Ale też to zniesienie banicji jest tylko początkiem. Dla Wiednia! Później dla Budapesztu!

– „Sprawa króla jest dziś nieaktualna na Węgrzech” – wołał premier węgierski Gömbös, gdy go o to zapytałem.

Taka nasuwa się konkluzja, gdy mowa o t. zw. zmianie organizacji systemu naddunajskiego.

*

*

*

Ale jedźmy dalej.

Jesteśmy na Bałkanie.

Belgrad szczyrzy zęby na Budapeszt.

Czy możliwa jest wojna spowodu zatargów jugosłowiańsko-węgierskich?

Odpowiedź brzmi: „Nie”.

Belgrad ma zresztą większe zmartwienia od swych zatargów z Budapesztem. Belgrad ma Zagrzeb i musi z nim żyć dobrze, jeśli Jugosławja ma być silna. W Belgradzie zaczęła się teraz próba współpracy z Zagrzebiem. Próba trudna. Miejmy nadzieję – szczęśliwa dla

polityki zewnętrznej i wewnętrznej konsolidacji Jugosławji. Co się tyczy polityki zagranicznej: Belgrad spogląda dziś ku Sofji przyjaźniej, niż kiedykolwiek.

Jaka może być przyszłość tego flirtu?

Zjednoczenie Jugosławji z Bułgarią przeciwko Grecji! Zlanie w jedną całość Macedonji, dziś między Jugosławję, Bułgarię i Grecję podzielonej, stworzenie nowego małego państwa: Macedonji – dziś tak niebezpiecznej dla życia monarchów i rządów – i włączenie jej do zjednoczonego państwa Słowiańszczyzny południowo-wschodniej Europy: Serbów, Chorwatów, Słoweńców i Bułgarów.

Przyszłość Jugosławji zależy od przyjaźni jej z Bułgarią, nie z innemi państwami bałkańskimi. Może nieraz jeszcze krew się poleje w Macedonji, lub za macedońską sprawę. Ale ta krew użyźnić tylko może rolę Jugosławji i Bułgarji, zjednoczonych w przyszłości.



Nie wierzę w inną konfederację państw bałkańskich.

P. Tevik Rustu Aras mówił mi coprawda, że:

– „Każde państwo, które widzi swój cel na wschodzie, może Turcji zaproponować konfederację”.

Dodał też, że:

„Byłbym pierwszy, który wypowiedziałby się za konfederacją państw bałkańskich.”

Nie wierzę w taką konfederację, byłaby ona tworem sztucznym. Można sobie wyobrazić konfederację jugosławiańsko-bułgarską. Rozmowy z kierowniczymi osobistościami Jugosławji i Bułgarji przekonały mnie, że mimo dawnych animozji i walk do konfederacji tej dąży Sofja i Belgrad świadomie i podświadomie.

Ale: czy można sobie wyobrazić połączenie zjednoczonych Jugosławji i Bułgarji np. z Grecją?

Czy Grecja pójdzie na jakieś ustępstwa wobec Bułgarji, mimo pięknych słów, jakie ma dla niej jej premier p. Tsaldaris.

Nie!

Możemy spokojnie mlasnąć językiem i podnieść brwi w górę, jak zwykli to czynić Grecy, by powiedzieć: „Nie”.

Będą Grecy fortyfikować nadal swą Macedonję wschodnią, bowiem nauczyli się w ciągu wieków przezorności. Stara jest ich kultura śródziemnomorska, i czują zbliżające się powoli niebezpieczeństwo serbsko - bułgarskie. Dziś mogą wspólnie przyjaciele sadzać do jednego stołu ministrów jugosławiańskich i greckich. Będą to wszakże gry na krótką metę. Grek nie będzie przyjacielem Bułgara. Dla Bułgara staje się przyjacielem Serb. Serbo - Bułgar będzie wrogiem Greka.

Skomplikowane są sprawy bałkańskie, skomplikowane są też wpływy, które w państwach bałkańskich działają. Trzebaby o tem napisać oddzielną pracę: o roli, jaką odegrał na Bałkanie angielski „Intelligence Service”, o roli kupców brytyjskich i brytyjskich dyplomatów na Bałkanie, o wygrywaniu przez Francję spraw bałkańskich i o szachowaniu

Francji przez państwa bałkańskie... Sowieta-
mi.

Kiedyś grała Rosja, „sławiańskaja Rosija,” wielką rolę w państwach bałkańskich. Grała tę rolę, używając akcentu wszechsłowiańskiego. Przez długi okres czasu, jaki minął od upadku caratu, wpływy Rosji na Bałkanach zmalały. Dopiero sowiecki komisarz do spraw zagranicznych, p. Maksym Maksymowicz Litwinow, uderzył znowu w akcenty wszechsłowiańskie. P. Maksym Maksymowicz Litwinow chce stać się patronem Bałkanów, by w myśl zasady „w jedności siła” móc dysponować na rynku międzynarodowym nie tylko 170-miljonową Rosją, ale i całym Bałkanem. Wpływy posłów sowieckich na Bałkanach porównywane są z wpływami Izwolskiego, wielkiego ambasadora carskiego w Paryżu.

Kto wie, czy wpływy te nie są dziś większe na Bałkanach od wpływów angielskich i francuskich, włoskich i niemieckich. Ale, czy dłużej jeszcze te wpływy się utrzymają?

Dziś wiatr z Sowieców wieje od Wschodu -

przez Turcję. Ale kierunki wiatrów są... zmienne.

*

*

*

Wiatr z Sowietów płynie przez Dardanele i Bosfor.

Kilka słów o sprawie cieśnin.

Turcy mówili mi, że zniosą strefę zdemilitaryzowaną w Dardanelach i nad Bosforem. Mówili mi, że ufortyfikują te cieśniny. Przeciwno komu?... Przeciwno państwom bałkańskim, z którymi dzisiaj siedzą w jednej Entencie, czy przeciw mocarstwom?...

Nie wiem, przeciwno komu fortyfikują się Turcy, ale wiem, że Moskwa informuje za-przyjaźnioną Ankarę o zbliżającej się wojnie.

Wyścig zbrojeń mocarstw ma być zwiastunem zbliżającej się zawieruchy. Turcja chce zamknąć cieśniny dla okrętów wojennych mocarstw. Czy odbije się to na handlu międzynarodowym, przewalającym się przez te cieśniny? Rząd turecki powiada, że zamknie cieśniny dla okrętów wojennych, ale zabezpieczy wolność międzynarodowego handlu.

Takie głosy płyną z Ankary i ze Stambułu.

Co mówią Ateny?

Ateny zapowiadają ufortyfikowanie wysp greckich, położonych w strefie zdemilitaryzowanej cieśniny.

Turcy mają teraz dane, by twierdzić, że Grecja nie wyrzekła się swych dawnych zamiarów zaborczych wobec Turcji, tej Turcji, która ją pobiła, gdy ostatni król Grecji nieostrożnie zapędził się zbyt daleko do Azji Mniejszej.

Turcy mówią, że, jeśli zamkną cieśniny, to tylko dlatego, by zabezpieczyć Stambuł i swoją Trację.

Tak wygląda przyjaźń dwóch poważnych partnerów Ententy Bałkańskiej.

Czy zatem konfederacja wszystkich państw bałkańskich jest możliwa?

Czy Ententa Bałkańska jest trwała?

Odpowiedź brzmi:

Nie!

*

Turcy znoszą strefę zdemilitaryzowaną w

cieśninach. Grecy fortyfikują swe wyspy. Sowiety są za zniesieniem strefy zdemilitaryzowanej. Włochy są temu przeciwnie. Za Turcją stoją Sowiety, za Grecją Włochy. Za Grecją stoi też Francja. Francja jest dobrze z Sowietami, ale jest też teraz dobrze z Włochami.

Krzyżują się wspólne interesy nowych przyjaciół na Dalekim Wschodzie!

Oto „wielka” polityka, jej drogi, jej... rezultaty.

*

*

*

Niemcy wzmacniają swą pozycję na Bałkanie. Idą na ustępstwa gospodarcze w Rumunji, by osłabić tem wpływy francuskie. Francuzi pożyczają wielkie pieniądze Rumunji. Znam wielkiego bankiera paryskiego, który ma w swej kieszeni niejednego polityka, niejednego znakomitego męża stanu Rumunji. Niemcy obiecują Jugosławji pomoc finansową i przywilej kontyngentów przywozowych na jugosłowiańskie produkty rolne. Jeden z najpotężniejszych „d. banków” otwiera swą filję w Beogradzie. Generał Goering jest na Bałkanie mi-

le widzianym gościem. Bałkan posiada doskonałe tereny... turystyczne.

Pewien minister jugosławiański powiedział do jednego z posłów, akredytowanych w Belgradzie:

„Polityka nie jest turystyką”.

Ale omylił się, bowiem okazuje się, że politykę robi się doskonale podczas wycieczek turystycznych.

Rozmowa króla Borysa z gen. Goeringiem i rezultaty pobytu premjera pruskiego w Belgradzie zaniepokoiły Paryż. Z Quai d'Orsay wysłano do posła francuskiego w Beogradzie instrukcje, by bałkańską akcję generała Goeringa starał się pokrzyżować.

Jakiż galimatjas! Na Bałkanie, jak na całym świecie panuje galimatjas, jakiego już dawno nie było.

Całe szczęście, powtórzmy, że kilku panów, pragnących rządzić Europą ze swych gabinetów ministerjalnych, nie jest ze sobą w zgodzie. Tym panom wydaje się tylko, że gdy zbiorą się razem w Stresie, czy w Genewie, mają prawo ustalać nowy porządek rzeczy na świecie.

Ale to są złudzenie. Ile już zmieniło się od dnia, – powtórzmy znowu – kiedy Anglja, Francja i Włochy ustalały „wspólny front” w Stresie! Ile już zmieniło się w stosunkach między temi państwami!

Pozatem: ile już zmieniło się w stosunkach między państwami Małej Ententy i Ententy Bałkańskiej. Jeszcze niedawno p. Benesz mógł z p. Titulescu decydować o tem, co np. robi p. Jewtisz. Dziś Regent jugosłowiański rozmawia wprost z królem rumuńskim. Zmieniają się role ludzkie i zmieniają się sytuacje polityczne. Życie jest silniejsze od gry dyplomatów.

Wojna europejska zrodziła się na Bałkanach... Zaognienie sprawy serbskiej, spowodowało w r. 1914 zamordowanie arcyksięcia Franciszka Ferdynanda.

Stan zapalny sprawy chorwackiej i macedońskiej spowodował śmierć króla Aleksandra. Ale chociaż świat zawołał po tej śmierci „Sarajewo” – wojna w r. 1934 nie wybuchła.

Dziś już sprawa chorwacka i macedońska

nie znajdują się w stanie zapalnym. Zmieniły się rządy w Jugosławji, dalekowiedze zaś polityczni twierdzą, że Jugosławja połączy się w przyszłości z Bułgarją.

Grecja fortyfikuje się od strony Bułgarji, Turcja od strony Grecji. Wszyscy mówią o pokoju, wszyscy się zbroją. Wielcy fabrykanci amunicji, ich przedstawiciele bałkańscy mogą być zadowoleni. Stary pan Bazyli Zacharoff nienadarmo jest Bałkańczykiem.

Różne interesy grają na Bałkanach. Różne interesy grały na Bałkanach i grać będą dalej.

„Pieniądze, pieniądze, pieniądze...

*

*

*

Wojna w 1914 r. zaczęła się od Bałkanów. Bałkany były, są i będą. Ale jest też jeszcze i Austria.

Jeżeli w r. 1914 Europa miała do czynienia ze sprawą niepodległości Serbji, zagrożonej przez Austro-Węgry, o tyle Europa w r. 1935 ma do czynienia już z całym kompleksem za-

gadnień bałkańskich i ze sprawą niezależności Austrii.

Nie rozwikłałem tych spraw, może je tylko oświeciłbym.

Łatwo zapala się ogień na ziemiach wulkanicznych.

Kiedy przewodnik oprowadza Was po okolicach wulkanicznych i wskazuje na kratery, w których przewala się zielonkawa lawa, wykonywa szereg eksperymentów, które mają Was zadziwić. Zapala zapalkę i— dotyka ją do ziemi. Zapala ziemię płomieniem, buchającym od tej zapalki. Biegnąc po gliniastej, rysującej się zmarszczkami ziemi, zapala trzymaną w ręku wiązkę gorącym, buchającym od ziemi. Patrzycie zdumieni na przewalającą się w kraterach lawę i na przewodnika, te dziwne sztuki wyczyniającego. Ziemia chwieje się Wam pod nogami, powietrze jest zgniłe, stęchłe, cuchnące ciężkim zapachem spalonego błota. Ziemia otwiera się to tu, to tam. Nie zastanawiacie się nawet, czemu się to dzieje, ale przyglądacie się z ciekawością temu niezwyk-

lemu w naturze zjawisku, nie myśląc może o tem, że ludzie – przewodnicy – zrobili sobie z tego przemysł. I jeśli będą mieli nadzieję większego zarobku sprawią Wam takie widowisko, jakie tylko na palącej ziemi da się urządzić.

Są tacy, którzy zarabiają na wszystkich sprawach, konfliktach, tragedjach wszystko jedno jakich: austriackich, węgierskich, bałkańskich.

Są to wielcy fabrykanci amunicji, wielcy pośrednicy w handlu bronią, czy naftą.

Za kulisami zeszłorocznego puczu austriackiego, podczas którego padł Dollfuss – stał nie tylko hitleryzm – ale... przemysł wojenny i samochodowy. Jeżeli ludzie strzelają do siebie, dobry to interes dla tych, którzy produkują kule i auta pancerne.

Za kulisami walk bratobójczych na Bałkanach stoją nie tylko partje polityczne i wielkie idee – ale wielcy fabrykanci amunicji.

Nie na darmo stary pan Zacharoff jest Grekiem.

Za kulisami ostatniej rewolucji greckiej stał

nietylko Król i Venizelos, ale również fabrykanci amunicji i wielcy amatorzy. Któż na rewolucji greckiej zarobił najwięcej? Wielkie firmy armatorskie, które reparaowały zbombardowane statki i budowały nowe. Fabrykanci amunicji, u których broń zamawiali rebeljanci i dostawcy samolotów, do których pomocy uciekł się rząd, by „zbombardować” rewolucję. Tylko posłowie zagraniczni w Atenach i ich radcy handlowi mogliby nam powiedzieć, jak wielkie zamówienia różnorakiej broni i samolotów, poczynił za ich pośrednictwem rząd grecki podczas ostatniej rebelji.

Czyż – nawiasem mówiąc – daleka Abisynja jest tylko teatrem imperjalistycznej demonstracji Włoch? Czy nie jest ona również wielką aferą naftową, zakrapianą krwią i potem ludzkim?

Polityka jest interesem.

I – poza daleką Abisynją, powodującą wstrząsy na jej ziemiach i... wodach – Europa ma swe wulkany.

SPIS ROZDZIAŁÓW

	str.
WSTĘP	5
I. Co będzie z Austrią?	14
II. Rozmowa z młodym księciem.	26
III. Węgry i świat.	44
IV. U Regenta Horthy.	60
V. Czy powrócą Habsburgowie?	72
VI. Bałkany: Jugosławja.	94
VII. Sprawa chorwacka.	109
VIII. Jeszcze sprawa chorwacka.	127
IX. W Bułgarji	134
X. Tanie jest życie ludzkie na Bałkanach	150
XI. Młaskamy językiem.	183
XII. Wschodni wiatr.	200
ZAKOŃCZENIE	212

KONRAD WRZOS REWOLUCJA W GRECJI

Oto głosy prasy:

WACŁAW ROGOWICZ w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym” w artykule pt. „ASY REPORTAŻU ŚWIATOWEGO”:

„...Wśród wielkich reporterów dziesiętnych za mistrzów w ukazywaniu przekroju życia współczesnego w światowej skali uważani są: Amerykanin H. R. Knickerbocker i E. E. Kisch, Niemiec austriacki, ścisłej czeski. Prasa młodej jeszcze, jako odrodzone państwo, Polski do niedawna na terenie zagranicznym była kopciuszkiem. Ale w ostatnich latach, po Konopackiej, Kusocińskim, Żwirce, Wigurze i Bajanie, przybył AS POLSKI O ZNACZENIU MIĘDZYNARODOWYM I NA ODCINKU REPORTAŻU ŚWIATOWEGO — W OSOBIE KONRADA WRZOSA.

...Wzorem obiektywizmu, niewyluczającego głębokiego spojrzenia na omawiane sprawy, są reportaże Konrada Wrzosa. I to nawet tam, gdzie porusza wobec cudzoziemców (francuski i czeski przekłady głośnego reportażu „Kiedy znowu wojna?” — tematy, dotyczące Polski). Źródło tej cechy Wrzosa widzę w potężnym zmyśle rzeczywistości, jaki przenikał już pierwszą jego książkę „Okno w okno z kryzysem”. Jest to pierwszorzędnym walor u publicysty kraju, gdzie w tyłu umysłów panuje jeszcze skłonność do tego, co nazwałbym kulturą załgaństwa... Mocny realizm Wrzosa odbił się i na jego stylu: trzeźwy, zwięzły i jasny, przy umiejętności operowania ogromnym materiałem, potrafi każdą kwestię ująć, że tak powiem, za łeb, i przedstawić ją czytelnikom w sposób niezwykle konkretny. Talent — szczególnie cenny, gdy idzie o reportaż polityczny, JAK W ŚWIEŻO WYDANEJ PRZEZ FIRMĘ „RÓJ” OSTATNIEJ PRACY WRZOSA „REWOLUCJA W GRECJI”, POKAZUJE NAM W REKORDOWYM TEMPIE PRZEBIEG I PRZYSZŁY MARCOWEGO RUCHU REWOLUCYJNEGO, zakończony szybko porażką wielkiego Kreteńczyka,

Venizelosa. Cztery rozmowy z nim w drodze na wygnanie, skomentowane przez znakomitego reportera politycznego, więcej mówią o tem, czym jest Grecja dzisiejsza, niż gdybyśmy dostali do czytania monografię o wielkim starcu, odnowicielu Grecji.

Obok tych wywiadów z Venizelosem i najwybitniejszymi osobistościami Grecji dzisiejszej, ileż barwnie opisanych wrażeń i przeżyć z burzliwych dni marcowych r. b. nasycy esencjonalnie treścią tę świetną książkę zamkniętą jasno sformułowanemi wnioskami — klamrą mocnej przenikliwości.

REWOLUCJA W GRECJI" ZDOBĘDZIE NIEWĄTPLIWIE REZONANS ŚWIATOWY.

„GAZETA POLSKA" (Warszawa):

...Pierwsza książka utalentowanego publicysty Konrada Wrzosa „Oko w oko z kryzysem", społeczno-gospodarczy reportaż z podróży po Polsce, stwierdziła pojawienie się u nas przedstawiciela tak rzadkiego w polskim dziennikarstwie rodzaju, jakim jest „wielki reportaż". Druga „Kiedy znowu wojna?" o charakterze ekonomiczno-politycznym, wysunęła Wrzosa do szeregu reporterów światowych. Wydana w tych dniach „Rewolucja w Grecji" — reportaż już czysto polityczny, umacnia zdobytą w tak krótkim czasie przez polskiego dziennikarza pozycję w reportażu międzynarodowym.

...Bez przesady można powiedzieć, że Wrzos zdobył tę pozycję szturmem, i to na tak trudnym dla cudzoziemca wogóle, a Polaka w szczególności rynku, jakim jest rynek francuski.

STEFAN OLSZEWSKI w „Warszawskim Dzienniku Narodowym" (Warszawa):

...Znany dziennikarz, p. K. Wrzos, autor ciekawych reportaży, zebranych w książce: „Oko w oko z kryzysem" i „Kiedy znowu wojna", wiedziony szóstym zmysłem — dziennikarskim, zawędrował wczesną wiosną b. r. na Bałkany i przyjechał do Aten na parę dni przed rewolucją. Widział ją i przeżył jak prawdziwy dziennikarz.

Z tych obserwacji, wrażeń i rozmów powstała książka „Rewolucja w Grecji", bezpretensjonalna, żywa, barwna, którą się czyta jednym tchem, jak powieść".

A BRAT w „Chwili” (Lwów):

...Konrad Wrzos uchodzący już dzisiaj za polskiego Knickerbockera, w swoim dziennikarskim szczęściu, jakie mu stale towarzyszy w jego zresztą znakomitej i zasłużonej karierze reporterskiej, jakby na zamówienie znalazł się na terytorjum Grecji właśnie wtedy, kiedy z nakazu Venizelosa rozpętana została rewolucja

...Autor idąc śladami Wickhama Steeda, Julesa Sauerweina i Knickerbockera na tle bezpośrednich rozmów z kierowniczymi osobistościami danego kraju względnie sytuacji, prezentuje czytelnikowi najautentyczniejszy materiał orientacyjny, co też w najnowszej swojej książce uczynił. Jak uzyskać dostęp do takich ludzi, jest właśnie tajemnicą rasowych dziennikarzy, do których niewątpliwie należy Wrzos.

J. SZCZAWIEJ w „Polsce Zbrojnej” (Warszawa):

...Widać szczerą, niefałszowaną pasję twórczą, widać w ruchliwości i obrotności Wrzosa, te same elementy, które dostrzegamy u najlepszego pisarza z taką samą pasją dobierającego się do materiału, stanowiącego tworzywo literackiego utworu.

To właśnie jest główna przyczyna, dla której traktuję „Rewolucję w Grecji” Wrzosa nie tylko jako dobry reportaż, ale i jako utwór literacki zupełnie wysokiej marki, że już nie będę zatrzymywał się na zaletach innych tej książki, jak staranny styl, doskonała narracja, no i duża kultura autora w podejściu do najważniejszych choćby zagadnień, o które potrąca treść książki.

Wrzos z ludzi z którymi rozmawia umie wydobywać najskrytszą prawdę...

...Wrzos znany jest jako najzdolniejszy reporter polszczyzny w Polsce, nawet w dziennikarstwie zagranicznym talent autora „Rewolucji w Grecji”, a przedtem jeszcze sensacyjnego reportażu „Kiedy znowu wojna?” ZDOBYWA CORAZ LICZNIEJSZY ZASTĘP ZWOLENNIKÓW.

A. CHOR w „Kurjerze Polskim” (Warszawa):

...Książka Wrzosa napisana jest doskonale. Ten wybitny publicysta ma wypróbowaną już metodę opisu.

...Wrzos jest prawdziwym mistrzem w tej metodzie pracy to z pewnością nie tylko na terenie polskim, ale i międzynarodowym.

„GŁOS PORANNY” (Łódź)

...W osobie Konrada Wrzosa zdobyło dziennikarstwo polskie pierwszorzędnego reportera politycznego na miarę europejską. Polski Knickerbocker, Sauerwein, lub Londers...

ROBOTNIK (Warszawa):

...Autor „Rewolucji w Grecji” jest pierwszorzędnym reporterem w wielkim stylu Sauerweinów i Knickerbockerów. Cechuje go śmiałość, rzutkość, inicjatywa, no i — oczywiście — umiejętność podawania czytelnikom zdobytego materiału w sposób niezmiernie zajmujący i przystępny...

JÓZEF DIAMENT w „Nowym Dzienniku” (Kraków):

...Książki Wrzosa o rewolucji greckiej nie czyta się tak jak inne książki. Nie zagina się kartek dla zapamiętania miejsca, w którym przerwało się czytanie, bo od książki tej nie można się wogóle oderwać. Lektura tej książki przykuwa do miejsca, zmusza do skupienia całej uwagi na przedmiocie, przyczem wyczuwamy jakby podskórnie, że książki takiej nie można inaczej pisać, jak stylem wykwinnym, a jednak pełnym prostoty, symboliką bogatą, a jednak związaną ściśle z wypadkami...

„ECHO DE VARSOVIE” (Warszawa):

Znakomity nasz kolega p. Konrad Wrzos, który pierwszy zastosował w dziennikarstwie polskim metody wielkiego reportażu w pracach swoich „Oko w oko z kryzysem” i „Kiedy znowu wojna”, wydał obecnie nowy tom, zawierający impresje z Grecji podczas ostatniej wojny domowej, która nawiedziła ten kraj. P. Wrzos jest bezwątpienia jednym z najruchliwszych dziennikarzy polskich, który obrał sobie za pole działania całą Europę. W ten sposób, podróżując po Bałkanach miał dziwne wyczucie i udał się do Aten na kilka dni przed wybuchem rewolucji.

...Rezultat wszystkich tych spostrzeżeń i rozmów zawarty został w książce zatytułowanej „Rewolucja w Grecji” napisanej lekkim piórem i barwnym stylem, dzięki czemu czyta się ją, jak pasjonującą powieść.

KONRAD WRZOS OKO W OKO Z KRYZYSEM

Oto głosy prasy:

J. KADEN BANDROWSKI w „Gazecie Polskiej“

„...Metoda pracy reporterskiej Wrzosa jest bardzo ścisła, gruntowna, a nie nużąca; daje ona czytelnikowi możność poznania całych, niejednokrotnie zawiłych problemów gospodarczych lub społecznych w łatwo zrozumiałym i plastycznym skrócie. K. Wrzos, jako reporter wielkiej sprawy kryzysu, porusza się z zadziwiającą łatwością na ogromnej przestrzeni zagadnień...

...K. Wrzos, nie tracąc nic ze swej dziennikarskiej dokładności, staje się bardzo dyskretnym, pociągającym artystą.

„...„Oko w oko z kryzysem“ K. Wrzosa jest wedle mego mniemania pracą, która może służyć za wzór młodym adeptom dziennikarstwa. Przeczytanie tej książki może jednak oddać niejakię usługi tym młodym pisarzom, którzy próbują dziś swych sił na terenie dziennikarskiego reportażu. Będą się mogli nauczyć z tej książki, jak delikatną jest sprawą wypośrodkowanie właściwej granicy pomiędzy istotnym tematem, a własną pasją, lub... próżnością autorską“.

S. OLSZEWSKI w „Gazecie Warszawskiej“

„...W kraju, gdzie każdy dziennikarz wstydzi się nazwy reportera, aczkolwiek w gazetach wszystko — poza publicystyką — jest reportażem, nawet feljeton literacki, p. Konrad Wrzos jest rzadkim wyjątkiem. Już u progu swej kariery zorientował się, na czym polegają „blaski i nędze“ dziennikarstwa w Polsce i temu, co było nędzą, postanowił nadać blask dotąd niepodejrzanym. Istotnie, udało mu się szare rzemiosło reporterskie przetworzyć na sztukę zdobywania i podawania informacji najtrudniejszych do zdobycia i podawania ich nie brutalnie, po amerykańsku, lecz dyskretnie, rozważnie, z poczuciem taktu i proporcji. W bardzo krótkim czasie ten młody, ciekawie zapowiadający się reporter, stał się w Polsce odpowiednikiem Sauerweina i Knickerbockera.

KONRAD WRZOS

KIEDY ZNOWU WOJNA?

ADAM GRZYMAŁA i SIEDLECKI w „Kurjerze Warszawskim“:

„...nęciło p. Wrzosa zbadanie nastrojów we wszystkich państwach, sąsiadujących z Rzeszą... Umiał do trzeciej do wybitnych polityków danego państwa... Autor, jako rasowy dziennikarz, dobrze jednak wiedział...”

„ROBOTNIK (Warszawa):

„...Książka sama jest pisana żywo, obrazowo, z talentem i starannością. Znać pióro tego wytrawnego, znanego w Polsce dziennikarza. Nie jest pisana powierzchownie, widać włożoną pracę, poważne studia. W Konradzie Wrzosie dziennikarstwo polskie ma bodaj, że jedynego o skali europejskiej pisarza uprawiającego tak modną dziś formę reportażu”.

„TECZA“ (Poznań):

„...Ukazanie się książki Wrzosa dlatego jest zjawiskiem ciekawym i godnym podkreślenia, ponieważ stwierdza, że w dziennikarstwie polskim wreszcie zachodzą jakieś zmiany, rodzą się ambicje i następuje zbliżenie z literaturą w tym sensie, że jej zdobycze zaczynają wpływać na kształtowanie się pracy dziennikarskiej...”

ZBIGNIEW GRABOWSKI w „Wiadomościach Literackich“ (Warszawa):

„...książka Wrzosa, która wyrósłszy z konsultacji schorzałej Europy, stała się bystrym i pracowitym przeglądem, wróżącym najlepszy rozwój autorowi...”

„...wszystkie zdobycze podróży wycisnęły swoje piętno na nowej książce Wrzosa, która znaczy wielki postęp w ujęciu tematu, rozplanowaniu materiału, a wreszcie w efekcie stylistycznym w porównaniu z reportażem poprzednim.

NAKL. GEBETHNERA I WOLFFA W WARSZAWIE

O PRZEKŁADZIE CZESKIM

Reportaż Wrzosa ukazał się w Pradze nakładem wielkiej firmy wydawniczej F. Topic p. t. „Kdy znovu valka?” w przekładzie czeskim Jarmily Fastrove.

Oto niektóre głosy prasy:

„PRAZSKIE NOVINY” (Praga):

„...Książka polskiego dziennikarza Konrada Wrzosa „Kiedy znovu wojna?” jest zaiste podziwu godnym wyczynem reporterskim... Dobra to lekcja dla czeskiego dziennikarstwa”.

„NARODNI POLITIKA” (Praga):

„Ten dziennikarz szerokiego, europejskiego pokroju pracuje metodami Steeda i Ludwiga, na podstawie specjalnych studiów przeprowadzonych na miejscu”.

„PRAVO LIDU” (Praga):

„...Powstała książka, którą się czyta, jakby jakąś sensacyjną powieść”...

„VENKOV” (Praga):

„...Czytajcie uważnie między wierszami. Odnajdziecie istotne przyczyny wojny?”

„MODRA REVUE” (Praga)

w recenzji p. t. „Dwie książki o wojnie” omawia reportaż Konrada Wrzosa, który ukazał się nakładem Topic w Pradze p. t. „Kdy znovu valka” i Knickerbockera p. t. „Czy będzie wojna w Europie”, który ukazał się w Morawskiej Ostrawie nakładem Kitla. Knickerbocker rozpoczął swą podróż po ukończeniu podobnej podróży Wrzosa. Porównując obydwie książki, recenzent stwierdza, że polski autor dał w niektórych rozdziałach rewelacyjne informacje, do których dostęp umożliwiła Wrzosowi jego wysoka pozycja dziennikarska.

WARSZAWSKIE „ABC” doniosło:

„Jakie książki polskie cieszą się w Czechosłowacji największą popytnością? „Lidove Noviny” ogłosiły wyniki swej dorocznej ankiety p. t. „Jaką najciekawszą książkę czytałem w roku bieżącym”.

Z dzieł polskich wymieniają uczestnicy ankiety kolejno Chormańskiego „Zazdrość i medycynę” (czeskie tłumaczenie), K. Wrzosa „Kiedy znovu wojna” (czeskie tłumaczenie), M. Dąbrowskiej „Noce i dnie”.

NAKŁADEM F. TOPICA W PRADZE

Fakt ukazania się książki Wrzosa na trudnym rynku księgarskim francuskim i in. krajów, jest wielkim sukcesem polskiego reportażu wogóle, a w szczególności polskiego dziennikarza, który, jak krytycy europejscy podnoszą, jest równy amerykańskiemu Knickerbockerowi i niemieckiemu Kischowi, i który pracuje podobnymi metodami co Steed i Ludwig.

Jego pierwszy reportaż w wydaniu książkowym „Oko w oko z kryzysem” postawił go w pierwszym rzędzie dziennikarstwa polskiego. Wrzos od lat cieszy się opiniają najlepszego reportera politycznego w Polsce, kierując warszawską redakcją jednego z największych dzienników polskich.

Jego drugi reportaż w wydaniu książkowym „Kiedy znowu wojna” zdobył mu rynki księgarskie zagranicą, przyczem wydawca francuski starał się zdyskontować fakt wyprzedzenia przez Wrzosa reportażu Knickerbockera o podobnym tytule i uniemożliwił książce Amerykanina rynek francuski. Fakt zaś dużo wcześniejszego ukazania się książki Wrzosa w Pradze i podbicie przez niego publiczności czeskiej spowodował, iż podobny reportaż Knickerbockera nie mógł już się ukazać w stolicy Czechosłowacji i ukazał się w Morawskiej Ostrawie.

Reportaż Wrzosa z Grecji utorowały mu drogę do największego wieczornego dziennika paryskiego „L'Intransigeant”, który drukował jego wrażenia i wywiady greckie.

Będąc zatem dziennikarzem polskim, jest równocześnie Wrzos dziennikarzem międzynarodowym. Dzięki „Rewolucji w Grecji” objął Wrzos stanowisko specjalnego wysłannika „L'intransigeant” na Wschód Europy.

Słusznie zatem podnosi W. Rogowicz, że „przybył nam as polski o znaczeniu międzynarodowym i na odzinku reportażu światowego — w osobie Konrada Wrzosa.”

TOW. WYD. „RÓJ” W WARSZAWIE.

2490



6601/1